Peowiak

Miesięcznik

Oficjalny Organ

Związku Peowiaków

W NUMERZE:

WACŁAW SIEROSZEWSKI

ZDZISŁAW CZERMAŃSKI

WINCENTY RZYMOWSKI

A. BORKIEWICZ, ZBIGNIEW RAKOWIECKI

inni

Nr. 8

Warszawa 1931 Październik

R. II

Rok II. Nr. 8 (11).

Peowiak

WARSZAWA
PAŹDZIERNIK 1931



Ś. P. TADEUSZ HOŁÓWKO

(Ostatnie zdjęcie wykonane w Truskawcu niemal w przeddzień zgonu znakomitego Męża Stanu, reprodukowane po raz pierwszy w „Peowiaku", dzięki uprzejmości WPani Hołówkowej).

WINCENTY RZYMOWSKI

TADEUSZ HOŁÓWKO

Nakładem kwartalnika „Zrąb" w grudniu r. b. ukaże się praca o ś. p. Tadeuszu Hołówce, pióra znakomitego publicysty i literata, p. Wincentego Rzymowskiego. W porozumieniu z Wielce Szanownym Autorem, poniżej dajemy fragmenty tej publikacji. Jednocześnie dowiadujemy się, że już w końcu tego miesiąca ukaże się tom II-gi wspomnień ś. p. Tadeusza Hołówki p. t. „Przez dwa fronty".

...Urodzony w Turkiestanie, na samej granicy Chin, z ojca powstańca, pochodzącego z Białejrusi, wychowany w szkole rosyjskiej, kształcący się na uniwersytecie petersburskim, ten młody „filareta", jak niegdyś młody autor „Farysa", całą niemal treść intelektualną swej polskości zdobywać musiał poza Polską etnograficzną. Być może, dlatego właśnie, w stosunku do Polski, miał w sobie nostalgję i żarliwość powracającego emigranta. Patrzył na kraj swój nie jako na dar gotowego dziedzictwa, ale jak na dzieło wysiłku i zmagania się ze sobą. Było w nim coś z tych bohaterów Żeromskiego, którzy nigdy nie bywają dość pewni, że zdarli z siebie powłokę kompromisu, nałogu, egoizmu. Zdzierał ją tedy niemiłosiernie aż do krwi, aż do bólu ran — i męką swych ran otwartych i nigdy nieukojonych kochał to wszystko, o co walczył. Ponad zadania spełnione stawiał sobie ciągle zadania coraz nowe i wyższe: żołnierz w służbie polityka, polityk zapatrzony w gwiazdę romantyka i pielgrzyma.

Co jednak najbardziej uderzało w umysłowości tego młodego studenta, to niezwykły dar orjentacji, jaką, przybywając zdaleka, wnosił w ulicę i zaułki Warszawy. Ten oryginalny „Petersburżanin", — towarzysz „Kirgiz", — odetchnąwszy powietrzem Warszawy, odrazu stąpać zaczął po jej bruku z taką pewnością siebie... jakby się w niej urodził?... nie! jakby w niej mieszkał od stulecia. Żyło w nim, istotnie, całe ostatnie sto lat dziejów naszych tak mocno, jakby się zamykało w dniu wczorajszym lub przedwczorajszym.

Znać było, że mieszkając w obcej stolicy, pilnie śledził zdarzenia w kraju aż do najdrobniejszych epizodów, obcował myślą z myślami całej Polski, wnikał w jej niedolę, odgadywał jej bunty, szarpał jej obrożę. Mapę Warszawy znał nie z rozkładu tramwajów, ale z topografji powstań polskich i bitw z Moskalami. Ilekroć opuściwszy redakcję, szliśmy ulicami miasta, pełnemi wtenczas, w pierwszym roku wojny, zgiełku wojsk rosyjskich, zawsze, mimowoli docieraliśmy do jakiejś wielkiej daty w łańcuchu polskich insurekcyj; ponad wszystkiemi czarami Warszawy przykuwał go czar nocy belwederskiej, ostatni wybuch potęgi polskiej, natchnienie narodowej poezji i dumy.

Od pożaru zaś nocy belwederskiej, od zgliszcz i pobojowisk powstańczych, krok tylko jeden w duszy Hołówki dzielił drogę do młodej drużyny orężnej, którą wiódł na podbój Polski Piłsudski: historja miała dlań sens i wymowę o tyle, o ile była arsenałem broni dla walki o postulaty życia.

Stając między łuną dawnych insurekcyj a zorzą legjonów, Hołówko całość polskiej sytuacji politycznej oceniał ze stanowiska interesów i widoków oręża, podjętego w imię niepodległości przez Piłsudskiego i garść skupionej przy nim młodzieży Galicji i Królestwa. Cała przyszłość narodu od samego początku wojny światowej taiła się dla Hołówki w legjonach Piłsudskiego.

Legjony! Legjony krwawiące się podówczas w ciężkich z Moskalami bojach i w jeszcze cięższych zapasach z Austrją i Niemcami, legjony, wtenczas, w r. 1914 — 1915, wyklinane i gromione klątwami całej niemal prasy warszawskiej, — to w duszy Hołówki był nietylko najrealniejszy program odbudowy państwa i narodu polskiego, ale także najwspanialsza pieśń czynu, najsilniejsze upojenie szczęścia, zakuta w oręż mickiewiczowska „Oda do młodości".

Kto pamięta ówczesną konjunkturę polityczną Warszawy i nastrój moralny, który ją nasycał, ten wie, że przeświadczeń podobnych Hołówko nie mógł wysnuć ani z komunikatów stron wojennych, ani z deklaracyj, składanych przez polskie stronnictwa. Mógł dobyć je tylko z waru swej krwi, z wnętrza duszy, z własnej rycerskiej tęsknoty.

Nie znajdując nic, po za gronem przyjaciół, na co mógłby się powołać w ówczesnej Warszawie, zahipnotyzowanej odezwą Mikołaja Mikołajewicza, dla uzasadnienia swej wiary w legjony cofał się w przeszłość i szukał oparcia w Mochnackim.

— Są czyny mędrsze od najmędrszych rozumowań — przypominał i podkreślał z naciskiem tezę trybuna listopadowego.

I pytał: czy wobec historji nie okaże się stokroć mędrszy kuchcik przy kuchni legjonowej od najwytrawniejszych polityków warszawskich, składających obcym wodzom wiernopoddańcze pokłony?

Ale ten „kuchcik polowy", rzucony tak śmiałą ręką w twarz „najwytrawniejszych" polityków warszawskich, stał się dla nich zniewagą zbyt dotkliwą, by ją połknąć mieli w milczeniu. Od góry do dołu zakołysał się oburzony i zgorszony Olimp ówczesnej opinji, z jego zaś wierzchołka zagrzmiał ten, który był Olimpu owego Jowiszem — gromowładcą: Aleksander Świętochowski, osiwiały wódz polskiego postępu. Żyjąc i snując myśli swe od lat kilkudziesięciu pod knebIem cenzury carskiej, odcięty od źródeł duchowych narastającego pokolenia młodzieży, Świętochowski, z poza dekoracyj i akcesorjów reprezentowanego przez siebie humanizmu, nie dostrzegał potrzeb i konieczności żywego w Polsce człowieka. Nie rozumiał, że pierwszym nakazem humanizmu była i mogła być tylko walka o skruszenie jarzma, gniotącego naród. Dał się uwieść małodusznemu hasłu orjentalnego kusicielstwa, które, jakby ku obarczeniu własnej pamięci, zamknął w nieszczęsnym, ciężkim jak kamień grobowy, aforyzmie: „Pod knutem — dobrze, byle razem!"

Jakby rozwijając to hasło rezygnacji, podniecony wyzwaniem Hołówki, Świętochowski w nr. 5 swego „Humanisty Polskiego" wystąpił z artykułem p. n. „Zatrute źródła", w którym młodzież legjonową i jej przyjaciół oskarżył najstraszniejszem oskarżeniem, jakie wtenczas paść mogło z ust polskich przeciw Polakowi.

Wtenczas po raz pierwszy w duszy Hołówki sprężył się ów płomień dumy, godności, ale i gniewu, jakim — w tragicznych okolicznościach — dobywa się krzyk narodu z rozdartej piersi pokolenia.

Gniew, kipiący w liście otwartym młodego publicysty, tem silniej wybuchnął, że zrodził się z bólu i żalu, wołał goryczą, wstrząsał skargą, przerażał niemal grozą w obliczu śmiertelnego próchna, ujawnionego w duszy tych, którzy podawali się za drogowskazy narodu.

— „My młodzi — wołał Hołówko — patrzymy struchlałem okiem, jak Polska z wysokości narodu spadła na poziom wzajemnie niszczących się plemion: Królewian, Galicjan, Poznańczyków. Widok ów, tak straszny, jest dla nas tem straszniejszy, że my Polskę w sercu nosiliśmy i kochali zawsze wolną i całą, i taką jedynie widzieliśmy ją oczyma duszy już wtenczas, gdy ty, panie Świętochowski, jak sam wyznałeś, „nie marzyłeś o tem". To też świętokradztwem dla nas stały się twe słowa, zapowiadające, że „polskie knechty pod osłoną Niemców mogą wejść bezkarnie w podziemia Wawelu i obrzucić błotem trumnę najukochańszego naszego bohatera?" Obca ci była, widocznie, ta atmosfera, którą oddychał Kraków ostatniemi czasy; lecz znają ją ci, którzy zlatywali się ku niej z najgłuchszych krańców i gniazd polskich, by śród ciszy wieczornej, śród murów wawelskich chłonąć z widomej głębi dziejowej płynącą moc i wiarę"...

W tem zdaniu zawarty był nietylko najtrafniej wymierzony pocisk w najsłabsze miejsce świętochowszczyzny warszawskiej, która była czystym, rzec można, produktem zaboru rosyjskiego, pozbawionym dopływu niepodległościowych prądów insurekcyjnych; w zdaniu tem Hołówko zawarł także ciekawy i ważki fragment swej własnej autobiografji.

Ten młody chłopiec, chwytający za pióro na niebezpiecznej reducie, nim dano mu będzie ująć za karabin na wielkiem polu zapasów między Polską a Rosją, zdążył, na lat parę przed swym przyjazdem do Warszawy, odwiedzić Kraków. Co więcej, spędził w jego murach długie miesiące w tym właśnie okresie przed wojną światową, gdy Kraków był kuźnią polskiego pogotowia zbrojnego. Tam, u stóp Wawelu, jako członek Polskiej Partji Socjalistycznej, związał się ślubami wierności z Piłsudskim i sprawą reprezentowaną wtenczas przez ruch strzelecki; ślubami, którym dochowa wiary do końca życia, nie znając innego wodza poza tym, którego z synowską miłością i z bezgranicznem oddaniem jeszcze w przededniu śmierci zwać będzie: „mój komendant".

Głębokie, niezatarte musiało być znamię, które ten wódz nieubłagany wypalił

w duszy młodzieńca, gdyż jeszcze po latach kilkunastu, gdy wspomina o tej chwili ślubowania, głos mu drży i oczy stalowego nabierają blasku.

Daleko, głęboko w nurt najżarliwszej, może nawet mistycznej, tradycji wyznawców, krzyżowców, pielgrzymów i rycerzy musielibyśmy się cofnąć, by napotkać równie szczerą, równie — nie lękajmy się tego wyrazu — naiwną, niemal dziecięcą wypowiedź wiary w ideę, ujmowaną poprzez jednego wybranego człowieka.

Powierzchowni lub płytko złośliwi obserwatorzy, nie widzą głębin, z jakich wypłynęły ślubowania Hołówki i niezłomna moc wytrwania pod ich znakiem aż po kres życia, nie szczędzili mu w czasach ostatnich kolców taniej a jadowitej ironji.

Dopiero skończona linja życia, tak tragicznie zamknięta, uświęciła, wyniosła ku górze i złowieszczem a nieskalanem światłem oblała w nim element wiary i bezinteresowności, dając najofiarniejszemu z rycerzy i wyznawców śmierć męczeńską.

Wizerunek żywego oblicza, aby dla wszystkich zajaśniał wewnętrzną prawdą ducha, musiała ostatnim rysem bezlitosnej rzeźby uzupełnić okrutna i barbarzyńska śmierć.

Hołówko, składając niezłomne ślubowanie Piłsudskiemu, wskazuje w jego osobie wcielenie dumy i wielkości narodowej, jako drogowskaz dla swego działania politycznego i ostoję dla swej wiary w Polskę.

Ale czyż wolno nam na tej prostolinijnej interpretacji poprzestać?

Nie pomylimy się chyba, utrzymując, że u podstawy węzłów, które tak żarliwemi uczuciami zespoliły żołnierza z wodzem, tkwiło coś głębszego, coś bardziej żywiołowego, coś mniej świadomego, niż program polityczny lub ideał narodowy.

Hołówkę w osobie Piłsudskiego podbiło to, najprawdopodobniej, co w jego własnej duszy, w jego krwistym, junackim temperamencie, nieokiełznanym krzykiem wołało o triumf wyładowania, o moc zwycięstwa, o romantykę strzelistych ataków na bastjony zleniwienia duchowego, ospalstwa, zastoju, zdzierstwa i krzywdy społecznej, ucisku człowieka przez człowieka.

Piłsudski oczarował go o najtkliwszej porannej godzinie życia czarodziejstwem ryzyka i górnem pięknem niebezpie-



ś. p. TADEUSZ HOŁÓWKO
przy pracy w M. S. Z.

czeństw, w imię najwyższej podejmowanych idej. Socjalizm i rewolucjonizm powstańczy — te dwa najwładniejsze skrzydła zapału — u ramion wodza legjonów, gdy szedł na podbój Polski, szumiały legendą, bujną jak samo życie kuszącą, jak sama młodość.

Że ta bujność i prężność życia, pęd i rozmach bojowy, był w indywidualności Hołówki naczelną dążnością natury, to widać już z tego długiego szeregu frontów, przez które szedł przebojem i na których walczył. Wstępował na szaniec, gdy najgorętszy zawiązywał się bój, opuszczał go natychmiast, gdy walka ustępowała pola targowisku.

W żołnierzu legjonowym widział nietylko siłę zbrojną, która przeciwstawia się sile, ale zwiastuna i chorążego nowych wartości społecznych, kulturalnych i narodowych, składających się na młode życie w odrodzonej Polsce.

Tęsknocie za tą nową treścią życia w ramach wskrzeszonego państwa sam dawał dotkliwy wyraz wszędzie, gdzie postawiły go zadania chwili.

W r. 1921, zaledwie proch bitew otrząsnąwszy ze swego żołnierskiego uniformu, zadokumentował w sposób brawurowy natychmiastowe przejście z odcinka wojny na odcinek pracy kulturalnej. Nim obudzi się w nim parlamentarzysta, nim sięgnie po władzę polityk, ręką jeszcze stwardniałą od trudów bojowych, ręką zaledwie z ran wygojoną, postanowił podźwigać opustoszały i zdewastowany gmach polskiej inicjatywy księgarskiej na polu cennych literackich wydawnictw.

— — — — — — — — — — — — — —

Jakże wiele historykowi przyszłemu, który z odległości czasu nad tą erą naszą się pochyli, — erą młodości Tadeusza Hołówki, — mówić będzie ów fakt, tak sam przez się znikomy, że współcześni prawie go nie spostrzegli: fakt, że wydawnictwo „Skamandra" zachwiało się w chwili gdy je opuścił Hołówko; że trzeba było tego „towarzysza Kirgiza" ze stepów turkiestańskich, któremu Piłsudski duszę przeczarował w rycerza i fanatyka polskości, aby jedyne ognisko naszej myśli poetyckiej rozbłysło na chwilę zbiorowym łukiem świetlistej tęczy nad zgliszczami wojny, nad ziemią mogił, pożarów i morderstw.

Wspomnienie o ś. p. pośle Tadeuszu Hołówce

Peowiacy! Spotkał nas ciężki, bolesny i niedopowetowania cios. Tem boleśniejszy, bo nagły i nieoczekiwany. Od skrytobójczych kul padł ś. p. poseł Tadeusz Hołówko! Przestało bić Jego wielkie serce, zgasł człowiek prometeuszowy. Znaliśmy Go wszyscy, jednego z twórców, organizatorów i najczynniejszych członków P. O. W. Pozostawił On nam, Związkowi Peowiaków najpiękniejsze i najszczytniejsze tradycje — bezmierne ukochanie idei, szczerość przekonań, jasna i konsekwentna prostolinijność w postępowaniu — oto cechy tego kryształowego człowieka. Należał On do „najbardziej właściwych ludzi na właściwem miejscu". Jego rola, jaką odegrywał w naszem życiu państwowem i twórcza, owocna praca, utrwalały nas w radosnem przeświadczeniu, że ujrzymy Go niebawem w rzędzie najświetniejszych sterników nawy państwowej. Miał szacunek i uznanie przeciwników — miłość przyjaciół. Najgorętszem i szczerem Jego pragnieniem było zbliżenie i zgodne współżycie wszystkich narodowości, zamieszkujących obszary Rzeczypospolitej.

Mordercy! Nie sprowokujecie społeczeństwa polskiego. Nie damy się unieść uczuciom słusznego oburzenia. Zdzierżymy serce — a rozumem kierować się będziemy! Nie chcemy zaprzepaścić wielkiej i szlachetnej idei ś. p. Tadeusza Hołówki. Wasz terror — to podła słabość wasza!

Obywatele! Ciężką żałobą okryła się Polska cała. W podwójnie ciężkim smutku jesteśmy my, mieszkańcy dalekiej, kresowej Nowogródzkiej ziemi, skąd Zmarły piastował swój mandat poselski. Tracimy w ś. p. Tadeuszu Hołówce, swego najlepszego przyjaciela, orędownika i obrońcę. On to pierwszy zwrócił uwagę Rządu i społeczeństwa na nasze Kresy, tak często pomacoszemu przez Macierz traktowane. On to, mimo nawału pracy i różnorodnych zajęć, nie szczędził dla swej ukochanej Nowogródczyzny czasu, sił i zdrowia. I jednem z Jego ostatnich publicznych wystąpień, był właśnie udział w Konferencji Gospodarczej w mieście granicznem Stołpce, w dniu 22 lipca r. b.

Tłumy mieszkańców, złożone z przedstawicieli różnych narodowości, zgromadzone pod oknami sali, w której pomieścić się nie mogły, a w której przemawiał Tadeusz Hołówko, były najwymowniejszem świadectwem tej popularności i czci, jakie zmarły zdobył sobie wśród tych, dla których z takim zapałem i oddaniem pracował.

To też stając w głębokim i nieutulonym żalu przed tą tragiczną trumną, pokrytą miast całunu naszym Peowiackim sztandarem, wierzymy niezłomnie, że tak wielka ofiara życia ś. p. Tadeusza Hołówki na marne iść nie może i wierzymy, że w Imię sprawiedliwości Bożej i ludzkiej, z niewinnie przelanej krwi ś. p. Tadeusza Hołówki wyrośnie nie krwawy mściciel, a tak gorąco przezeń upragniony bujny kwiat braterstwa, miłości i wzajemnego porozumienia i współżycia wszystkich obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Jerzy Jasny-Gorzkowski,
b. Kmdt 5 Obwodu VII Okręgu P. O. W., poseł na Sejm.

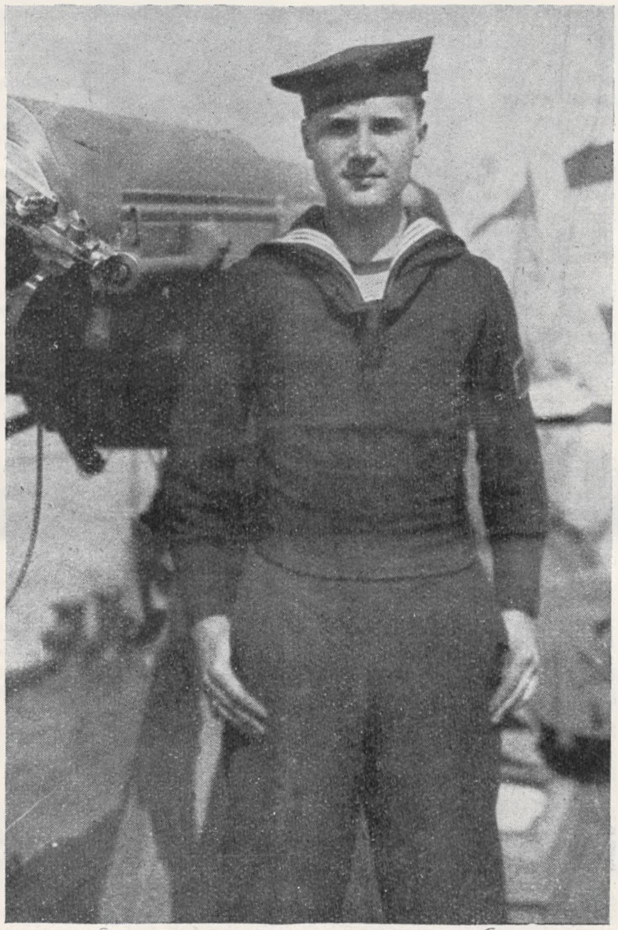
WACŁAW SIEROSZEWSKI

UROK MORZA

(DOKOŃCZENIE)

Kilkanaście chałup rybackich kryjących się w ubogich sadach wiśniowych zamieniło się w murowane wielopiętrowe, liczne kamienice. Między niemi pobiegły szerokie gładko brukowane ulice, oświetlone elektrycznemi latarniami. Wspaniałe gmachy rządowe zabłysły zwierciadlanemi oknami. Na wydmach nadbrzeżnych rosną posadzone młode drzewa i piękne bulwary nęcą przechodniów kwiatami i zielonością murawy... Ale główny cud stał się na morzu. Długi, na dwa prawie kilometry falochron z betonu i żelaza chroni obszerne na 150 hektarów przedporcie od nacisku wzburzonych bałwanów. Basen Prezydenta Rzeczypospolitej, basen Marszałka Piłsudskiego, dwa baseny węglowe i basen południowy — już pracują, już pełne są przypływających i odpływających statków. Baseny kupiecki i rybaczy są w przygotowaniu. Trzy kilometry nadbrzeży, wyłożonych olbrzymiemi blokami betonowemi, są na ukończeniu... A praca nie ustaje. Pogłębiarki wciąż kopią z dna piachy i przerzucają je na miejsca wskazane, na niepotrzebne wgłębienia. Wielkie parowe kopaczki wżerają się głęboko w torfiaste łąki, prowadząc szerokie kanały aż, hen, ku stacji kolejowej. Tam, gdzie płynęła niegdyś nikła Chylonka, w której, jak powiadano, „żaba z trudem nogi mogła zamoczyć", dziś pływa prom, przewożąc ludzi z Gdyni do Oksywji. Statki oceaniczne, pojemności do 30.000 ton, wyładowują już wprost na wybrzeże ludzi i towary z Brazylji, ze Stanów Zjednoczonych, z Egiptu, z Dalekich Indyj, Chin i Japonji. Po portowych groblach toczą się wagony do samych statków, czernieją nad niemi potworne sylwetki żelaznych dźwigów — mostowych, bramowych, balansowych, drobnicowych, wywrotnic wagonowych oraz innych przemożnych maszyn, porywających całe wagony węgla w powietrze, jak lekkie piórka... Na nadbrzeżach wyrastają długie sznury składnic. Powstaje pierwsza nasza własna stocznia okrętowa z dokiem pływającym o pojemności 5.500 ton. Już od paru lat funkcjonuje łuszczarnia ryżowa, zdolna przerobić miesięcznie 100.000 ton ryżu. Ryż przychodzi bezpośrednio z Indyj i po przeróbce idzie nietylko do Polski, ale też na cudzoziemskie rynki bałtyckie. Ile to nam zaoszczędza wydatków, a ile przysparza dochodu, prócz tego, że daje pracę polskim robotnikom i zatrzymuje ich w kraju! W budowie jest wielka olejarnia, fabryka przetworów i konserw rybich oraz dużo innych zakładów przemysłowych. Takich zakładów, przeważnie tartaków i cegielni, było w Gdyni w 1919 roku 5, teraz jest ich 175. Przedsiębiorstw handlowych, drobnych sklepików i piekarń w 1919 roku było 7. Teraz poważnych firm, obracających setkami tysięcy złotych, jest 259, w tej liczbie 5 przedsiębiorstw zaopatrywania statków, 3 towarzystwa żeglugowe, 5 towarzystw transportowych.

Od 1924 roku po rok 1928 wzniesiono w mieście 263 domy z 3.759 pokojami. Prócz tego dźwignięto szereg wielkich gmachów państwowych, jako to: Stację Kolejową, Pocztę, Urząd Morski, Instytut Meteorologiczny, Dowództwo Floty, Koszary Marynarki, dom „Żeglugi Polskiej", Bank Polski, Szkołę Powszechną i t. d... Jest w Gdyni kilka wielkich hoteli, a na Kamiennej Górze powstał ostatnio, tuż nad zatoką, bardzo piękny „Dom Zdrojowy" z ciepłemi kąpielami morskiemi. Wszędzie oświetlenie elektryczne, dostarczane przez Elektrownię Po-



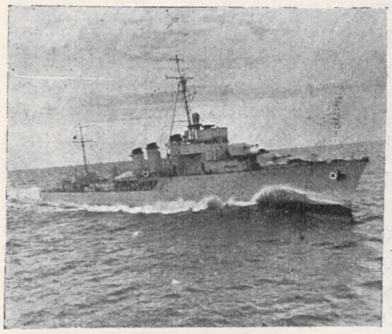
Typ polskiego marynarza.



Torpedowce w szyku torowym.

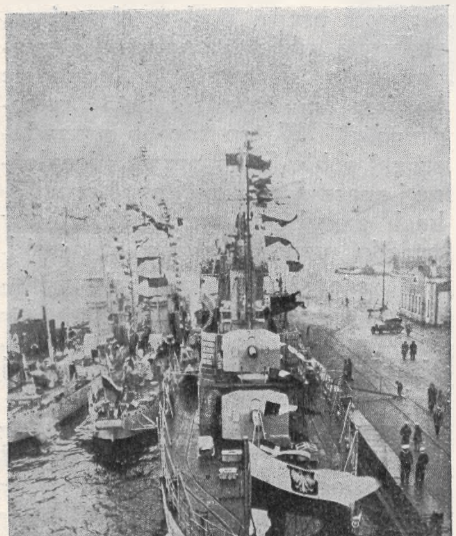
morską „Gródek". Wszędzie przeprowadzana jest kanalizacja i czynione są przygotowania do sprowadzenia wodociągami wody z odległych źródeł. Liczba mieszkańców szybko wzrasta. W 1920 roku miała Gdynia kilkaset mieszkańców, w 1927 roku było ich 13.780, obecnie jest ich 32.000. Statystyka wykazuje, że przeciętny przyrost wynosi miesięcznie 1.000 dusz. W letnie miesiące, kiedy napływają letnicy, ludność prawie że się podwaja.

Wszyscy ci ludzie tak czy inaczej żyją z morza. Obrót towarowy Gdyni wzrasta w szybszem nawet tempie, niż ludność. W 1924 roku przybyło do Gdyni statków 27 o pojemności 14.352 ton (netto) oraz tyleż statków wyszło. W 1929 r. przybyło ich 1.420 o pojemności 1.321.616 ton (netto), a wyszło 1.425 o pojemności 1.325.229 ton (netto). Obrót towarów przez ten czas wzrósł: eksport z 9.086 ton 1924 roku do 2.261.088 ton 1929 roku; import z 931 ton w 1924 roku do 300.974 ton w 1929 r. Już obecnie prześcigamy przedwojenny obrót towarowy Gdańska, a przecież Gdynia działa dopiero lat pięć!



O. R. P. „Wicher" na falach polskiego morza.

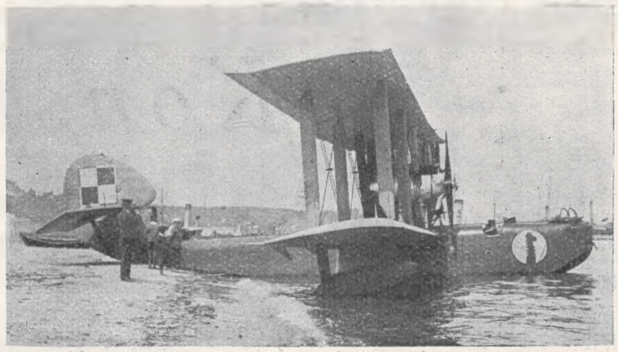
Nie licząc floty wojennej mamy już statków handlowych 30 o łącznym tonażu 63.000 ton. Jest to bardzo mało, ale nadzieja rozwoju jest wielka, gdyż bezpośrednie stosunki z naszemi kolonjami narodowemi za morzem wzrastają. Jest nadzieja, że będziemy mogli niezadługo wozić naszemi własnemi statkami nietylko nasz węgiel, cement i drzewo, lecz z powrotem zabierać będziemy od naszych bawełniarzy z Teksasu bawełnę dla Łodzi, Białegostoku i Bielska, kawę z Brazylji do składów hurtownych w Gdyni, ryż i korzenie z Indyj... I to wszystko omijając obce pośrednictwo!...



O. R. P. „Wicher" w porcie gdyńskim (od tyłu).

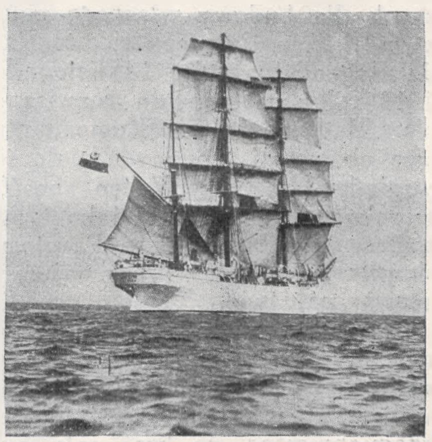
Jednocześnie powstaje nowe zjawisko w dziedzinie uczuciowej o bardzo doniosłem znaczeniu. Morze przestaje być tęczowem marzeniem romantycznych chłopców, a staje się potężną, łatwo osiągalną rzeczywistością.

Coraz częściej na ulicach naszych miast nietylko pomorskich, ale i w głębi kraju, pojawiają się smukłe, młode postacie w charakterystycznych granatowych strojach i białych wywiniętych kołnierzach, z twarzami opalonemi zwrotnikowem słońcem, z rysami wysuszonemi gwałtowanemi wichrami, z dziwnem spojrzeniem ludzi, przyzwyczajonych spoglądać w dal.



Hydroplan polski typu „Latham".

Taki wzrok mają tylko marynarze i lotnicy. Coraz liczniejsze nici łączą statki, rozpraszające się po słonych falach, z sercami pozostającemi na lądzie. Śledzą one już z niepokojem za burzami, mgłami, wichrami, za groźnem przelewaniem się straszliwego żywiołu oceanów, unoszących im najbliższych, najdroższych... Poznają morza, uczą się myśleć o nich, badać ich prądy i zwyczaje tak ważne dla najmilszych im istnień... Uczą się kochać i nienawidzieć morze — przestało ono być dla nich obojętne! Liczba tych serc poślubionych z morzem rośnie. Morze wdziera się do duszy narodu przez szczeliny uczucia i wyobraźni, a skoro ją raz posiędzie, już jego nic stamtąd nie wyruguje. Bo takiem jest morze!



Statek szkolny „Lwów" z rozwiniętemi żaglami na pełnem morzu.

Tajemnicza potęga, której niemilknący szum kołysał do snu dusze naszych przodków. Głos ten jako dalekie zamglone wspomnienie spało na dnie naszych serc, aż, oto, obudził je potężny zew historji...

Nie oddamy morza! Nie opuścimy go, skorośmy doń raz powrócili, gdyż tęsknota za niem nie dałaby nam już nigdy spokoju...

Tę tęsknotę wyśpiewał Conrad-Korzeniowski tak doskonale tylko dlatego, że ona żyła zatajona na dnie duszy polskiej...

I dlatego jak się wielekroć w swych wędrówkach przekonałem, Polacy są zazwyczaj wybornymi marynarzami!...

Kocham Cię również i ja sine, nieskończone i niezgłębione morze, odbicie wysokiego Nieba!

LUDWIK J. DĄBROWSKI

Konstytucja

V.

Przed przystąpieniem do omówienia Konstytucji 17 marca, należy przypomnieć sobie poprzedzające ją wydarzenia, które, choć niedawno tak miały swoje miejsce, jednak w ciągłem szarpaniu się wewnętrznem społeczeństwa zatraciły swoje żywe barwy.

Z chwilą powrotu Komendanta z twierdzy magdeburskiej do kraju (10 listopada 1918 roku), oczy wszystkich zwróciły się ku Niemu, bowiem zdawano sobie powszechnie sprawę, że tylko On posiada faktyczną możność powstrzymania zagrażającego nam zewsząd zamachu rewolucyjnego oraz wydobycia z narodu jak najwięcej sił twórczych dla budowy własnego państwa *). Tem tłumaczy się, że Rada Regencyjna dnia 14 listopada 1918 roku postanowiła rozwiazać się, składając na ręce Komendanta swe obowiązki i odpowiedzialność względem narodu. W ten sposób w rękach Komendanta, jako tymczasowego Naczelnika Państwa, skupiła się pełnia władzy najwyższej w państwie.

Wielki i bezsporny autorytet moralny Komendanta w narodzie sprawił, że wszyscy podporządkowali się Jego władzy. Jest to tem znamienniejsze, że kraj cały był rozdarty na zwalczające się orjentacje wojenne i nurtowany przez rozbieżne prądy polityczne.

Naród znalazł w osobie Komendanta wyraz swego dążenia moralnego do jedności wewnętrznej i siły. Pod wpływem jednak *sztabów partyjnych* rozpoczęły się w Polsce dążenia rozkładowe i anarchiczne w postaci namiętnej walki o władzę. Każda z partyj zmierzała najkrótszą drogą do zagarnięcia władzy. A droga ta wiodła albo poprzez narzucenie swej woli Komendantowi, albo przez opanowanie stanowiska, które On zajmował.

Pierwsza uderza Narodowa Demokracja. Kamieniem obrazy jest dla niej powierzenie misji utworzenia gabinetu Daszyńskiemu. Nie to, że krok ten uzasadnia Komendant koniecznością liczenia się z prądami społecznemi, jakie ze wszystkich stron otaczają Polskę, zwyciężając na zachodzie i wschodzie Europy. Stugębna plotka, zrodzona z demagogji, rozniosła po kraju wieść, że Naczelnik Państwa zaprzedał Polskę socjalistom.

Tak się zaczęła walka stronnictw w Odrodzonej Polsce.

Komendant ze spokojem przyjął te pierwsze ataki. Uwagę Jego i energię pochłaniały całkowicie sprawy młodego państwa i armji, która od pierwszych już dni stała w ogniu walki i wymagała z Jego strony nieustannej i czujnej troskliwości. Dla dania głosu opinji publicznej i opanowania wrzenia wewnętrznego, tak niebezpiecznego w chwili organizowania się państwa i rozpalających się u jego granic wojen, polecił rządowi zwołać Sejm Ustawodawczy w możliwie krótkim terminie. W dekrecie zaś o najwyższej władzy reprezentacyjnej państwa, ustalającym zasady organizacji i działania naczelnych jego organów, stwierdził, że władzę Tymczasowego Naczelnika Państwa sprawować będzie do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego, do którego wybory wyznaczył na dzień 26 stycznia 1919 r.

I to nie osłoniło jednak osoby i stanowiska Komendanta przed atakami partyjnictwa. Dla przywódców partyjnych niemałą podnietą była przytem świadomość, że w Paryżu, u boku dysponującej losami Europy koalicji, działa Komitet Narodowy Polski, będący emanacją polityczną Narodowej Demokracji, i tworzy się armja niezależnie od Komendanta.

Wśród więc rozgwaru walk wewnętrznych i sporów zebrał się w dniu 10 lutego 1919 roku Sejm Ustawodawczy. Żadne ze stronnictw nie uzyskało w nim większości. Walka o władzę rozgorzała tedy na jego terenie na nowo.

Komendant zgodnie z zapowiedzią złożył w ręce Sejmu urząd Naczelnika Państwa. Przed Sejmem stanęła tedy kwestja ustalenia nowych norm, któreby obowiązywały do czasu uchwalenia Konstytucji, a także sprawa obsadzenia najwyższej godności w państwie.

Wiadomą było rzeczą, że autorytet Komendanta w narodzie i całym kraju przesądzał na Jego rzecz tę ostatnią sprawę. Wiadomem było także, że Komendant obdarzony władzą nie da się naginać, ani zastraszyć stronnictwom. To też Narodowa Demokracja, nie mając szans obsadzenia stanowiska Naczelnika Państwa przez uległego sobie człowieka, postanowiła pozbawić urząd Naczelnika Państwa wszelkich istotnych uprawnień, przyznając je Sejmowi, w którym, jako w zbiorowisku sprzecznych interesów i dążeń, spodziewała się łatwiej uzyskać przemożny wpływ.

Myśl ta zyskała przychylny oddźwięk wśród pozostałych stronnictw sejmowych. Socjalistom i wogóle lewicy, doktryna o ludowładztwie przysłoniła żywotny interes państwa, mianowicie konieczność ustalenia silnej władzy wykonawczej. W ten sposób doszła do skutku uchwała sejmowa z dnia 20 lutego 1919 roku o powierzeniu Komendantowi dalszego sprawowania urzędu Naczelnika Państwa, czyli tak zwana popularnie mała konstytucja.

Uchwała ta odarła Naczelnika Państwa ze wszelkich posiadanych dotychczas uprawnień. Zwierzchnictwo i prawa stąd wypływające, stały się udziałem Sejmu Ustawodawczego. Uchwała opierała się bowiem na zasadzie jego *„suwerenności"*. W ten sposób przywłaszczył sobie Sejm prawa nienależne i spaczył powszechne w republikach zasady zwierzchniej władzy narodu, uznając siebie za naród.

Z tego stanowiska Sejmu wypływała jego nieograniczona władza w zakresie ustawodawstwa. Naczelnik Państwa nie miał w tej dziedzinie żadnych literalnie uprawnień, ani inicjatywy prawodawczej, ani prawa sankcji, ani też prawa odraczania względnie rozwiązywania Sejmu. Nawet ogłaszanie ustaw nie należało do niego, ale do Marszałka Sejmu.

Nawet w zakresie władzy wykonawczej Naczelnik Państwa pozostał tylko wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych.

Wkrótce też po omawianej uchwale, politycy sejmowi podjęli próby ograniczania władzy Naczel-

---

*) Nawet rozplakatowana wówczas na murach Warszawy odezwa Narodowej Demokracji stwierdza, że „wszystkie stronnictwa skupiają się około Piłsudskiego, wierząc niezłomnie, że On Naród ku dobru powszechnemu poprowadzi".

nika Państwa, jako Naczelnego Wodza. Chodziło mianowicie o nominację oficerów i o zarządzenia natury strategicznej, w które to sprawy stronnictwa chciały się także wtrącać. Zdecydowana jednak postawa Naczelnika położyła kres tym zakusom.

W ten sposób władza ustawodawcza najzupełniej uzależniała od siebie władzę wykonawczą, niwecząc zasadę równowagi władz naczelników państwa, którym pozostała naprawdę tylko rola reprezentacyjna. Pełnia władzy skupiła się natomiast w rękach Sejmu Ustawodawczego i jego partyj. To dominujące stanowisko Sejmu w państwie potęgował jeszcze fakt, że okres jego pracy nie był określony żadnym terminem.

Uchwałę z 20 lutego uzupełnia wkrótce ustawa z dnia 8 kwietnia 1919 roku o nietykalności członków Sejmu Ustawodawczego, zabezpieczająca posłom zupełną bezkarność w zakresie działalności politycznej, a częściowo także i bezkarność ogólną.

W ten sposób rządy w Polsce stały się udziałem walczących o władzę stronnictw, a Sejm — faktyczny rozdawca władzy — głównym terenem rozgrywki.

Już w chwili uchwalenia małej Konstytucji zdawano sobie sprawę z niebezpieczeństw i wadliwości, zawartych w jej postanowieniach. Ze względu jednak na przejściowy charakter uchwały z dnia 20 lutego, nie przywiązywano do tego większej wagi. Społeczeństwo oczekiwało wszakże w krótkim czasie uchwalenia Konstytucji. Spodziewano się też powszechnie, że przywróci ona zachwianą na korzyść Sejmu równowagę władz w państwie. Nie doceniono, niestety, jednak, że zasady małej Konstytucji odpowiadają nałogom myślowym polityków sejmowych i idą po linji ich interesów partyjnych i wskutek tego wdzierać się będą uparcie do opracowywanej Konstytucji.

Tak się też stało w istocie.

Pracę nad konstytucją rozpoczął Sejm Ustawodawczy wkrótce po zebraniu się. Pierwsze dyskusje spowodował rząd przez przesłanie Sejmowi w dniu 5 kwietnia 1919 roku projektu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, opracowanego na podstawie poprzednio przeprowadzonej ankiety. Projektu tego nie przyjął jednak Sejm za podstawę dyskusji, lecz zażądał przedstawienia przez rząd własnego projektu. Na skutek żądania tego uchwalił rząd w dniu 3 maja 1919 roku Deklarację Konstytucyjną, złożoną Sejmowi w kilka dni później, a w dniu 3 listopada 1919 roku wniósł do Sejmu projekt Ustawy Konstytucyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, jako projekt rządowy. Projekt ten został przez Komisję Konstytucyjną Sejmu uznany za podstawę obrad nad konstytucją. W styczniu 1920 roku uzupełnił go jednak następny gabinet przepisami, dotyczącemi Senatu.



Marszałek w ramach Konstytucji.

Rys. Zdz. CZERMAŃSKIEGO z teki „Marszałek Piłsudski w 13 karykaturach"

Rok zgórą trwała praca Sejmu nad konstytucją, a nad krajem przelewała się tymczasem niepowstrzymana fala zdarzeń. W krwawym trudzie wytyczał naród granice Rzeczypospolitej oraz kładł podwaliny pod swą przyszłą egzystencję wielką, bezimienną pracę. Krajem rządził nieograniczony w swojej władzy Sejm, co nie przeszkadzało mu przerzucać odpowiedzialność za swe rządy na często zmieniające się gabinety. Stałej większości Sejm nie posiadał. Tworzyła się ona od wypadku do wypadku dla celów doraźnych i z reguły mniej lub bardziej przypadkowo.

W obliczu groźnego niebezpieczeństwa, ciągnącego od wschodu, a mianowicie 30 czerwca 1920 roku, z polecenia Komendanta ówczesny Prezes Ministrów, Władysław Grabski, wniósł do Sejmu projekt ustawy o utworzeniu Rady Obrony Państwa. Do zakresu działań Rady należało „decydowanie we wszystkich sprawach, związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny, oraz z zawarciem pokoju; wydawanie w tych sprawach rozporządzeń i zarządzeń". Uzasadniając powyższy projekt na plenum Sejmu, W. Grabski w ten sposób argumentował: „Czy przez te półtora roku nie przyzwyczailiśmy się do tego, żeby więcej rozmyślać, więcej mówić, więcej krytykować, a mniej działać? Czyż nie nabraliśmy takiego usposobienia, że sami przestaliśmy wierzyć w możność szybkiej decyzji w łonie nas samych? Czyż naród nasz nie widzi, że to się stało chorobą naszego Państwa?"

Sejm następnego dnia jednomyślnie uchwalił ustawę o Radzie Obrony Państwa, a wkrótce, po utworzeniu Rządu Obrony Narodowej, który stanął przed Sejmem 24 lipca 1920 roku, odroczył swe posiedzenia na dwa miesiące. Wszystkie stronnictwa zobowiązały się „do nie zwalczania tego rządu i do nie przeszkadzania mu w prowadzeniu walki obronnej i w jego krokach pokojowych". W takich okolicznościach rozpoczął swoją pracę ten Rząd Obrony Państwa, o którego powstaniu Komendant tak mówił 5 grudnia 1922 roku: „Był bowiem u steru Państwa rząd, który sam stworzyłem, używając do tego nie tylko wysiłków woli, ale, przyznaję się, i wiele sprytu. Przedewszystkiem był to rzadki wypadek, gdy przy rozbiciu

ubiegłego Sejmu na stronnictwa udało mi się stworzyć w ciężkiej chwili rząd współpracy wielu stronnictw, poświęcający swoją indywidualność dla wspólnego celu. Nadto udało mi się postawić na czele rządu ludzi, reprezentujących te warstwy, których przy wszelkich wysiłkach w ubiegłem stuleciu brakowało do realizacji pragnień narodu. Tym razem stanęły te warstwy w pierwszym szeregu obrońców Ojczyzny — były uobywatelnione".

W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, zagrażającego samemu bytowi państwa, Sejm podporządkował się woli Komendanta i pod Jego naciskiem zrezygnował chwilowo ze swojej wszechwładzy i stworzył prawno-polityczne warunki dla istnienia sprawnie działającego organu władzy. Podobnie postąpił Sejm później, za gabinetu Wł. Grabskiego, kiedy dał rozległe pełnomocnictwa — ze strachu przed ostateczną katastrofą finansową — po raz trzeci, już po przewrocie majowym, dało się na Sejmie wymusić pełnomocnictwa dla rządu. Niestety, tak w 1920 roku, jak i w obu późniejszych wypadkach, zachowanie się partyj sejmowych było rezultatem strachu, a nie wyrazem dojrzałej myśli państwowej, poszukującej dla państwa takiej organizacji władz, k óra zapewnia siłę i bezpieczeństwo. Partje sejmowe tylko na czas największego niebezpieczeństwa umiały zdobyć się na *„nieprzeszkadzanie"* rządowi — przez nieustanną interwencję klubów poselskich w sprawy rządzenia.

Gdy tylko minęło niebezpieczeństwo, powróciły do swych dawnych praktyk. W chwili więc, gdy stała się aktualna sprawa rokowań pokojowych z bolszewikami, narzuciły rządowi udział przedstawicieli poszczególnych partyj sejmowych w delegacji pokojowej. Powstała tą drogą paradoksalna sytuacja. W łonie delegacji polskiej, działającej w imieniu rządu polskiego i w myśl udzielanych przez niego instrukcyj, znaleźli się ludzie, od rządu faktycznie niezależni, a opierający swój udział w rokowaniach na mandatach, formalnie tylko otrzymanych od rządu, w rzeczywistości zaś udzielonych przez poszczególne partje sejmowe, w myśl wskazań których winni byli działać. To też o zgodności delegacji w obliczu przebiegłego kontrahenta nie mogło być mowy. Stwarzało to dla rządu sytuację niezmiernie trudną, kompormitującą niemal. Choć ponosił on bowiem pełną odpowiedzialność za rokowania pokojowe i ich rezultat, nie miał jednak należytej swobody decyzji, którą narzucał mu nierzadko ten, czy inny członek delegacji z łona Sejmu.

(c. d. n.).

STEFAN MIESZKOWSKI

Peowiak służy wielkiej sprawie i rozumie doniosłość celu swej pracy

WYZNANIE PEOWIAKA.

„Peowiak pamięta o tem, że służy wielkiej sprawie, całem więc życiem świadczy, iż rozumie doniosłość celu swej pracy i wysoką odpowiedzialność, jaką wziął na siebie, wstępując do Związku. Zawsze i wszędzie stara się świecić przykładem otoczeniu, wzmacniając wiarę w siły narodu, zwalczając ciemnotę, warcholstwo, sobkostwo i prywatę, które zgubiły ongiś Polskę"

Gorąca miłość Ojczyzny i chęć wywalczenia Jej niepodległości, zgromadziła Peowiaków pod sztandarem Komendanta Piłsudskiego. Chmury wielkiej wojny, w której Polska nie występowała jeszcze jako państwo, unosiły się wtedy nad jej stratowanemi polami, a warcholstwo i prywata ludzi, w których ręce naród oddał obronę swoich praw, sprawiły, że imię Polski było przez zaborców wyzyskiwane w celu przynęcenia Polaków pod obce znaki do walki w imię obcych i wrogich nam interesów. Beznadziejnem wydawało się wtedy osiągnięcie w takich warunkach chociażby prymitywnej niezależności.

Jeden tylko Wódz wierzył, że Polska odzyska niepodległość przez poświęcenie i krew jej synów, w imię polskiej sprawy walczących.

W takiej ciężkiej dla Polski chwili peowiacy stawali pod rozkazy Komendanta Piłsudskiego, ufając jego żelaznej woli zwycięstwa. Budzili oni w narodzie świadomość, że wojna stworzyła sposobność zrzucenia z Polski obcego jarzma, że taka sposobność nie zdarzy się już prędko, a wykorzystać ją można tylko przez zaciągnięcie się do szeregów, któremi dowodził wytrwale walczący z przemocą Komendant.

A kiedy trony zaborców waliły się w gruzy, peowiacy raźno wzięli się do dzieła i rozbroili najeźdźców, a potem w szeregach wojska polskiego wykreślali granice Rzeczypospolitej. I dostąpili tego wielkiego szczęścia, że Polska rozpoczęła nowy wolny byt, niosąc ludom, zamieszkującym jej ziemie, wysoką kulturę ducha i dając im skuteczną opiekę przed zachłannością wrogów.

Dla wrogów tych solą w oku jest wolna Polska z jej bogactwami naturalnemi, z jej centralnem w Europie położeniem geograficznem, wreszcie z jej pracowitą ludnością. Czyhają więc ciągle na jej wolność i marzą o nowych rozbiorach.

Te zakusy jawnych i ukrytych wrogów naszej niezależności wymagają od wszystkich obywateli Rzeczypospolitej zarówno stałej i wielkiej czujności, jak i wytężonej pracy nad wzmożeniem potęgi Państwa Polskiego w każdej dziedzinie. Dla peowiaka zaś konieczność oddawania wielkich wysiłków dla dobra Rzeczypospolitej jest już nie zwykłą potrzebą codzienną, w jakiej się Państwo znajduje, ale wprost obowiązkiem, którego spełnianie przynosi mu najwyższy zaszczyt. Przecież peowiak, który w walce o Niepodległość stał niezmordowanie w szeregach tych, co porzucili swoje sprawy i korzyści osobiste i krwią swoją, a nawet życiem świadczyli o swem dla Ojczyzny oddaniu się, ten peowiak, który w największym nieraz niedostatku i poniewierce niestrudzenie i nad wyraz gorliwie pracował nad odrodzeniem ducha wśród zwątpiałych współobywateli, musi i dziś świecić przykładem cnót obywatelskich i poświęcenia. Okryłby się hańbą i krzywdę sprawiłby dobremu imieniu Związku, gdyby zaniedbał swoich względem Ojczyzny obowiązków i kroczył w ostatnich szeregach, wśród tych, którzy tylko o swoje dobro zabiegają i bronią tylko małych spraw swoich.

Chlubna przeszłość peowiaka wymaga, by i teraz gdziekolwiek i w jakichkolwiek warunkach znajdzie się, na każdem stanowisku, górował on jednak pośród otoczenia uświadomieniem obywatelskiem i politycznem — jak przedtem lepiej się orjentował w pracy niepodległościowej od tylu tysięcy jego rodaków.

Najlepsze swoje poczynania winien peowiak rozwijać na terenie naszego Związku, roztaczać swoje projekty na zebraniach związkowych i innych jego członków pociągać do pracy dla dobra Rzeczypospolitej. Gdy przypomni sobie prace P. O. W. w okresie okupacji, łatwo dojdzie do wniosku, że zbiorowy, zorganizowany wysiłek daleko więcej znaczy, niż szereg drobnych, nieuzgodnionych poczynań jednostek, odosobnionych i często nie mających siły pokonać ogromu zadań.

A więc śpiesznie i razem do pracy! Krzepmy ducha słabych i opieszałych!

Ś. p. Witold Gołębiowski (Ildefons)

Polska Organizacja Wojskowa zrodziła się z miłości Ojczyzny, woli i pracy naszego Wielkiego Wodza. Rozwinęła się ona zaś dzięki temu, że Wódz znalazł takich wykonawców swych idej, którzy pracy tej oddali duszę, zaprzedali się jej na śmierć i życie. Takim właśnie żołnierzem Komendanta, nieulękłym pionierem haseł P. O. W. na ówczesnym ugorze naszego życia narodowego był zgasły ostatnio, dn. 2 września 1931 r. ob. Gołębiowski, znany wielu peowiakom pod pseudonimem Ildefonsa lub Krynickiego..

Sylwetkę jego tak kreśli jeden z wielu jego podkomendnych i wychowanków *): „ob. Gołębiowski Witold był zawsze wzorem cnót żołnierza. Odważny, nie znający znużenia, nie dbający o niebezpieczeństwo, był dla mnie i wszystkich, którzy z nim pracowali, niedościgłym wzorem żołnierza i oficera. Sam nie wiedząc co to jest niespełnienie rozkazu, od innych tego samego wymagał, w niebezpieczeństwie pierwszy, cofał się, gdy sprawa tego wymagała, ale zawsze ostatni".

Ob. Witold Mikołaj Gołębiowski, syn Feliksa i Józefy z Somurajów, urodził się 10 września 1888 roku **) w Warszawie. Po ukończeniu szkoły średniej i studjach malarskich, chciał pójść za swym powołaniem — zaczął pracować jako artysta-malarz. Niestety, zawróciła go z tej drogi wielka sprawa, której oddał się całkowicie.

W 1913 roku ogarnął go ruch wojskowo - wyzwoleńczy: wstąpił do Związku Walki Czynnej. Po wybuchu wojny światowej, w sierpniu 1914 r. jest jednym z pierwszych członków zawiązującej się P. O. W. w Warszawie. Pełni kolejno funkcje szeregowca, sekcyjnego, komendanta plutonu. Jako instruktor pracuje w t. zw. Wolnej Szkole. Na początku 1915 roku zdaje egzamin podoficerski. W czerwcu tegoż roku zostaje wysłany przez Komendę Naczelną do Łomży, jako komendant okręgu, który ma dopiero zorganizować. Tam jednak zostaje wkrótce uwięziony przez Rosjan. Udaje mu się zbiec dopiero w sierpniu, gdy Niemcy zajmują Warszawę. Stąd z bataljonem warszawskim odchodzi do I Brygady, dokąd ciągnie go najgorętsza tęsknota.



Jednak w kraju czeka praca, do której potrzeba ludzi, posiadających „nerwy stalowe, zimną odwagę i pogardę śmierci". Ob. Gołębiowski zostaje odwołany rozkazem do pracy podziemnej i we wrześniu 1915 roku obejmuje szkołę podoficerską w Łodzi. W marcu 1916 r. zostaje komendantem poczty, a pod koniec tegoż roku, w listopadzie zostaje mianowany (rozkaz Nr. 480) komendantem I Okręgu w stopniu podchorążego (z 19.XII.1916). Jego energja, poświęcenie i usilna praca wysuwają go na jednego z kierowników coraz to potężniejszego ruchu wyzwoleńczego. Nadchodzi listopad 1918 roku. Ale gdy wszyscy w radości i szczęściu obejmujemy służbę w wolnej Rzeczypospolitej — to ob. Gołębiowskiego zastaje ta chwila na wysuniętym posterunku, w „naszem, drogiem starem" ale niewolnem jeszcze Wilnie, gdzie ob. Ildefons, wśród panoszącej się tam buty niemieckiej, organizuje XI Okręg P. O. W. Już w grudniu 1918 jest gotów do wystąpienia czynnego. Chce wespół z innemi organizacjami wydrzeć śmiałym wystąpieniem miasto i okolicę z rąk niemieckich. Lecz zawodzi „Samoobrona Wileńska", której kierownicy łudzą się jeszcze, że władzę otrzymają w sposób legalny. Niemcy zwodzą, bo ich „Soldatenraty" już zawarły umowę z Sowietami.

Powstanie w Wilnie wybucha dopiero 1 stycznia 1919 r. W walkach z Niemcami, a następnie z miejscowymi komunistami bierze wybitny udział IV bataljon peowiaków por. Gołębiowskiego Jednak jest już za późno. Od kraju oddzielają Wilno Niemcy, a od wschodu nadciągają wojska sowieckie. Osamotniona, pozbawiona amunicji, broni i wyżywienia załoga Wilna stawia rozpaczliwy opór do 5 stycznia, poczem przedziera się przez Niemców za Bug. Oddziały XI okr. P. O. W. wchodzą w skład tworzącej się w kraju dywizji litewsko - białoruskiej (do pułków mińskiego i białostockiego).

Por. Gołębiowski zostaje dowódcą 7-ej komp. białostockiego p. p. Na jej czele bierze udział w walkach do lipca 1919 r.

W warunkach najcięższych, w jakich wówczas walczono, gnębiąca kpt. Gołębiowskiego już od dłuższego czasu choroba powala go, uniemożliwiając mu trwanie przy ukochanej pracy, której poświęcił swój talent, swoje zdrowie i swoje szczęście. Za prace swe zostaje wyróżniony orderem Virtuti Militari i Krzyżem Niepodległości z mieczami.

Cześć niezłomnemu żołnierzowi bez skazy i trwogi!

Niech pamięć Jego czynów trwa w poszumie naszych sztandarów niech budzi Jego wielkoć ducha i serca w przyszłych pokoleniach.

A. Borkiewicz.

POMNIK NA GROBIE
Ś. P. OB. GOŁĘBIOWSKIEGO.

Obywatele! Związek Peowiaków winien utrwalić świetlaną pamięć ś. p. ob. Ildefonsa - Gołębiowskiego pomnikiem na cmentarzu. Pomnik ów wzniesiemy na wiosnę 1932 r. wspólnym wysiłkiem. Listy składek wysyła Zarząd Główny Związku do Okręgów, któremi kierował Zgasły nasz Kolega. Jednak wszyscy złóżmy na ten cel tyle, ile dać możemy. Prosimy o przesyłanie składek bezpośrednio do Redakcji „Peowiaka" z wymienieniem przeznaczenia.

Redakcja „Peowiaka".

*) Skinder.

**) Ewidencja P. O. W. podaje rok 1885.

Międzynarodowa Wystawa Kolonjalna

(Korespondencja własna „Peowiaka")

Paryż, we wrześniu 1931.

Od pięciu miesięcy olbrzymia przestrzeń Wystawy, rozłożonej na 110 hektarach w słynnym lasku Vincennes, połyka i wyrzuca niezliczone rzesze tych, którzy w ciągu jednego dnia pragną objechać świat dookoła, poznać jego cuda, udostępnione każdemu laikowi. Głównem zadaniem Wystawy jest pragnienie pokazania swoim i obcym zamorskich krain, z ich bogactwami, zwyczajami, przeszłością i możliwościami na przyszłość. A nad tem wszystkiem unosi się ten subtelny egzotyzm, którego tak łakną zmodernizowani współcześni.



Marszałek Lyaytey, komisarz generalny Wystawy.

Przejdźmy jednak do pobieżnego choćby opisu Wystawy, aby dać pojęcie tym, którzy jej nie oglądali, o wspaniałościach tego przedsięwzięcia.

Wejść na Wystawę jest pięć, z tego dwa znaczniejsze: Brama Honorowa i Brama Reuilly. Pierwsza z nich to kolos sto metrów szeroki i 150 długi, mogący się poszczycić wewnątrz wspaniałą fontanną.

Pod względem administracyjnym podzielić można wystawę na trzy działy. Pierwszy, dział główny, mieści stałe muzeum kolonjalne (jedyny gmach, który nie ulegnie rozbiórce), ośrodek międzynarodowy informacji oraz cztery pałace metropolitalne. Do tego doliczyć jeszcze trzeba: pawilony misyjne, pałac Sztuk Pięknych oraz pomnik wojsk kolonjalnych.

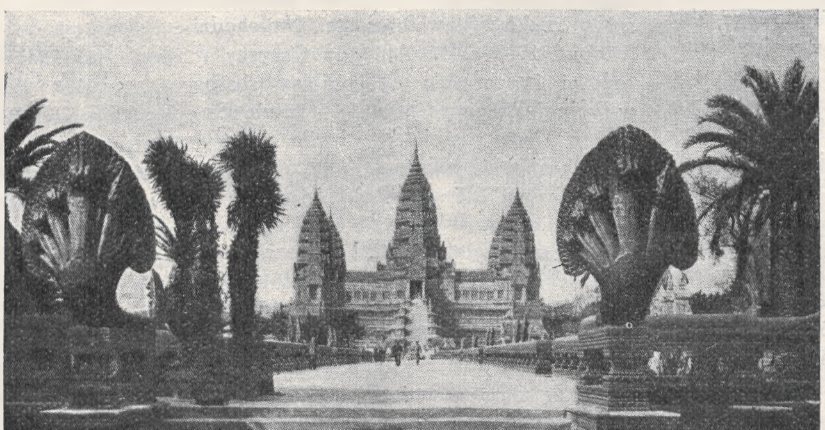
Muzeum kolonjalne, o powierzchni 6000 metr. kw., posiada wzdłuż całej swojej fasady, za osłoną 32 smukłych kolumn, największą płaskorzeźbę świata, dłuta Janniota. Jak w otwartej książce ujrzeć na niej można pięciowiekowy postęp kolonizacyjny Francji. Przed wejściem głównem posąg Metropolji, niosącej kolonjom pokój i dobrobyt.

Ośrodek międzynarodowy informacji poza biurami pocztowemi, bankowemi, turystycznemi, restauracjami, kinem i t. p. posiada, ze względu na brak oddzielnych pawilonów, reprezentacje Wielkiej Brytanji, Grecji, Hiszpanji, Kanady, Japonji, Argentyny i Persji.

Pałace Metropolji posiadają wszystko to, co jest niezbędne kolonjom, wzamian za ich surowce, a więc: wyroby przemysłowe, zbytku, wytwory rolne craz lasów kolonjalnych.

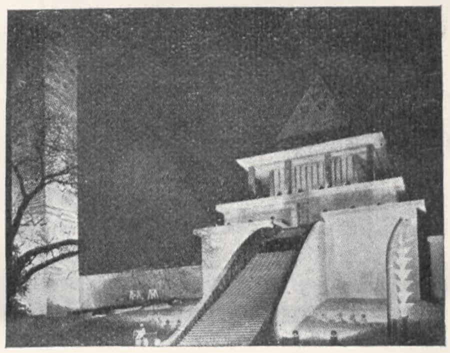
Dział drugi: francuskich kolonji, protektoratów oraz terytorjów mandatowych składa się z niezliczonej ilości pawilonów, które stanowią właściwie „gros" całej Wystawy. Dla orjentacji przejdziemy je, z braku miejsca, pobieżnie.

A więc pierwszy, to Madagaskar, ucieleśniony w pałac królewski dynastji Hovasów. Monumentalne schody wiodą na taras u podnóża wysokiej na 51 metrów wieży Bukranów, ozdobionej u szczytu czterema głowami zebu. W cieniu tej budowli tuli się wioska malgaszańska, przeniesiona żywcem z dalekiej ojczyzny.



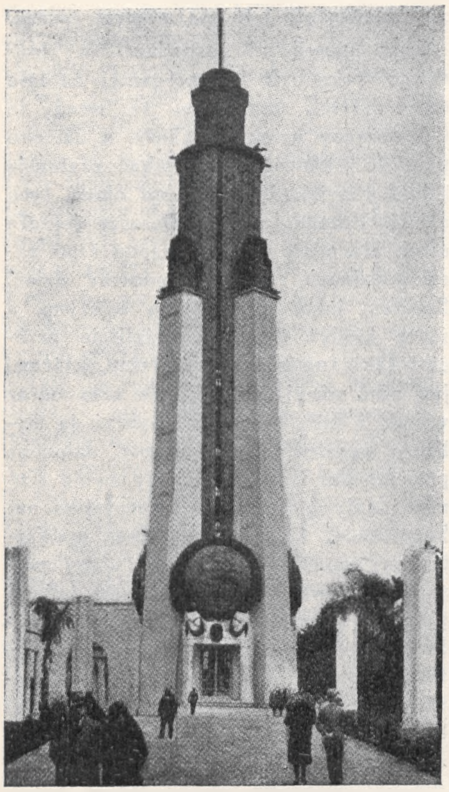
Brama główna do świątyni Angkor-Vat.

Obok pawilon Wybrzeża Somalisu Francuskiego jest doskonałem naśladownictwem moszei Ahmuda w Dżibouti. Minaret z półksiężycem u szczytu naśladuje znakomicie wieże, widziane w Mezopotamji. Dalej widnieją dwa słonie rzeźbione u wrót do pawilonu Indyj Francuskich. Tuż obok Gujany, stoją pawilony Misyj Katolickich i protestanckich, oba utrzymane w stylu kolonjalnym. Znajdują się tutaj relikwje pomordowanych i autentyczne narzędzia tortur, jakie krajowcy stosowali krzewicielom wiary. Dalej, to stojący na palach pawilon Tahiti, potem idą szeregiem pawilony: Nowej Kaledonji, Nowych Hebrydów, Martyniki, Wysp Towarzyskich i Gwadelupy, aż nareszcie oczom turysty przedstawia się najwspanialsza budowla Wystawy, słynna świątynia Angkor-Vat (VII—XI w.). O siedmiu wieżycach, stromych schodach i wspaniałych galerjach stanowi ta budowla owoc architektoniczny pomieszania dwóch stylów: chińskiego i induskiego. Cała z koronek z kamienia, szczególnie wieczorem, w oświetleniu reflektorów przedstawia cudowny obraz.



Pawilon Madagaskaru w oświetleniu wieczornem.

U stóp świątyni kryją się pawilony Indochin, Kochinchiny, Tonkinu, Kambodży, Annamu i Laasu. Dalej znowu powracamy na ląd afrykański, aby ujrzeć olbrzymie budowle Afr. Zachodniej, oraz pawilon Afr. Równikowej w postaci pocisku armatniego. Tuż obok, a następnie bliżej jeziora Daumesnil, to pawilony Marokka, Tunisu i Algieru, pełno bud jarmarcznych, minaretów, zaułków, kawiarń egzotycznych i t. p. Latarnia morska nad samą

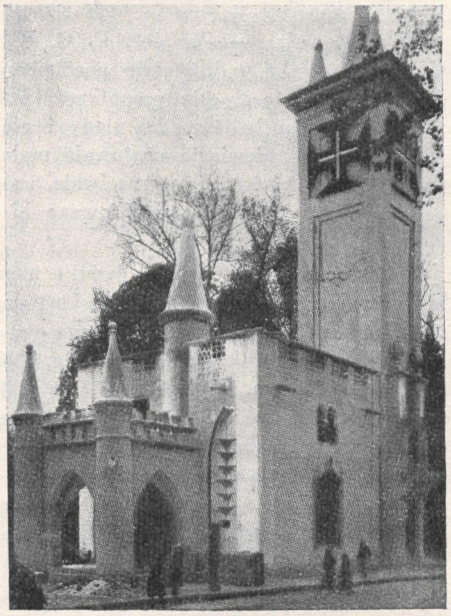


Wieża Działu Wojskowego.

spokojną tonią jeziora przypomina nam daleką wysepkę św.św. Pierre et Miquelon. Obok znajdują się dwa terytorja mandatora Francji: Togo i Kamerun, składające się z siedmiu oddzielnych pawilonów. Na tem kończą się kolonje francuskie i rozpoczyna się dział trzeci: kolonji cudzoziemskich.

Na pierwszy plan idzie pawilon kanału Sueskiego (z inicjatywy rządu egipskiego), potem pawilony Belgji (Kongo), Bliskiego Wschodu (Syrji i Libanu), Palestyny, Włoch, przedstawiony pod postacią łuku tryumfalnego Septymiusza Sewera i Libji, dalej też włoskiego Rodosu, Holandji, odbudowany już po pożarze, Stanów Zjednoczonych, reprezentowany przez kopję domu Washingtona w Mount Vernon, nakoniec Hindustanu i duńskiej Grenlandji. Należy jeszcze wspomnieć o pawilonie Afryki i Indyj portugalskich.

Brak miejsca nie pozwala nam, niestety, podzielić się z czytelnikiem dokładniejszym opisem tego wspaniałego dorobku kolonjalnego Francji i innych mocarstw. Bo nie zapomniałby nigdy tej cudownej, tak krótkiej, a tak bogatej we wrażenia, podróży poprzez pięć kontynentów naszej ziemi.



Pawilon Portugalji.

K. S.

ZBIGNIEW RAKOWIECKI

Czasy peowiackie

W Radomiu siedziałem zakonspirowany kilka dni, wyjeżdżając często do pobliskich komend lokalnych na peowiacką inspekcję. W tym czasie zorganizowany był przez Marjańskiego kurs oficerski P. O. W. Wykładali oficerowie legjonowi. Jak skończył się ów kurs — nie wiem — byłem zaledwie na kilku zbiórkach i wyjechałem z rozkazu Komendy Okręgu na pracę instruktorską do Opoczna, gdzie miałem pozostać zaledwie parę tygodni, potem zaś udać się do Białobrzeg na obwód. Prawdę mówiąc, byłem ucieszony, że wytchnę jakiś czas w Opocznie, wyzbyty trosk ściśle organizacyjnych, a nadewszystko ciągłej włóczęgi od wsi do wsi w poszukiwaniu peowiaków; teraz przychodziłem dwa razy dziennie na zbiórkę i po wykładzie byłem wolny. Zwiedzałem piękne okolice i moc zamierzchłych pamiątek, pełnych czaru i legendy.

Mówili mi w Opocznie, że o północy wśród ruin pałacu Kazimierza Wielkiego, błąka się niekiedy zjawa pięknej Esterki, ulubienicy króla, a gdy pierwsze gwiazdy na wschodzie bledną — wątły cień kochanki rozpływa się w mgłach i niknie.

Przesiedziałem dwie noce na kamieniach zwaliska — nie przyszła!

Po paru dniach miałem odczyt o celach i pracy P. O. W. w którejś z komend lokalnych, odległej od Opoczna dobry kawał drogi. Na miejscu byli strasznie mili ludzie i dużo ładnych panienek. Obiad jadłem u samego wójta, ale mąci mi się w głowie i nie mogę sobie przypomnieć twarzy tego zacnego chłopa. Wracałem w doskonałem usposobieniu i wspaniałą bryką. Bryka zataczała się od rowu do rowu, bo i woźnica, i obywatel, który ze mną jechał i ja, urżnięci byliśmy, jak susły.

Ale takie okazje w P. O. W. zdarzały się raz na rok.

Po tygodniu mojej bytności w Opocznie, zostałem w sposób dość niezwykły ostrzeżony przed aresztowaniem. Był tam wtedy wędrowny cyrk, olbrzymia płócienna buda, obok tabor, rekwizytornia, dwa niedźwiedzie, wilki, małpa i domek na kółkach, mieszkania błaznów, siłacza magików i woltyżerki-linoskoczki. Przy rozbijaniu tego namiotu pracowali też miejscowi peowiacy-robotnicy, potem, kiedy już cyrk dawał widowiska, zostali oni takimi dyrektorami od wyrzucania. Zapraszali mnie ciągle do cyrku, a kiedy przyszedł dzień benefisu *Pipcia-ryżego*, błazna — poszedłem.

Przed budą, na beczce, stał upaćkany człowieczek, walił w taraban i darł się wniebogłosy:

„Stój, zatrzymaj się, dziś coś nowego, Benefis Pipcia-ryżego!"

Krzyk robił swoje, tłoczno było przy kasach i prawie wszystkie miejsca sprzedali. Wokół, obok objawów radości i podniecenia, słychać było i słowa cierpkie, w rodzaju: *„weź pan tą rękie"*, *„z czym do gościa"* i t. p.

Największem powodzeniem cieszyła się woltyżerka, b. przystojna młoda dziewczyna. Wyczyniała różne łamańce na nieosiodłanym koniu, a cyrk huczał. Po przerwie tańczyła na drucie, potem sięgnęła trapezu i czepiała się zębami takiej gałki, puściła ręce i zawisła wysoko, trzymając się tylko na zębach. Aby spotęgować wrażenie, ozwały się bębny, a cyrkówka, wisząc tak ciągle, kołysała się tam i napowrót. Niewątpliwie miała prawdziwe zęby. Kiedy zstąpiła na arenę — owacja. Rzucali jej pod nogi pomarańcze, cukierki, jabłka, a ponieważ ja miałem w ręce kwiatki, podałem jej garść skromnych petunij i spotkałem się za to z b. miłym uśmiechem.

Po widowisku poszedłem spać. Nazajutrz miałem praktyczny wykład o broni i repetycje. Do domu wróciłem dopiero wieczorem; wystraszony chłopak hotelowy oznajmił mi, że niedawno było dwóch żandarmów i drobiazgowo wypytywali o mnie. Zaledwie znalazłem się w pokoju— ktoś zapukał i prawie jednocześnie weszła do mnie pięknie ubrana dama, w któ-

rej — ku memu zdziwieniu — poznałem ową linoskoczkę z wczorajszego cyrku.

Wyrecytowała: — Pan jest P. O. W., niech pan ucieka, najbliższym pociągiem, dowidzenia, może się kiedy spotkamy! — wyszła. Nie spotkaliśmy się nigdy i nie wiem, czy owa niewiasta uratowała mnie przed aresztowaniem, czy przeciwnie, naraziła mnie na dość skomplikowane historje.

Niezwłocznie spakowałem garstkę moich rzeczy, zapłaciłem hotel i pobiegłem na dworzec. Bilet kupił mi kolega-peowiak, którego spotkałem po drodze. Do pociągu wsiadłem, obchodząc stację, od tyłu. Dziwiło mnie to wszystko; nie zdziałałem w Opocznie nic, co mogłoby zwrócić czyjąś na mnie uwagę. Może poprostu jako *homo novus* interesowałem żandarmów. A uciekałem, bo mógłbym znowu trafić do kieleckiego więzienia i stanąć wobec tych samych twarzy, które mnie kiedyś sądziły (por. Nr. 5 „Peowiaka"). Recydywiści karani byli surowo i bezwzględnie; wątpię, czy teraz, w razie aresztowania, udałoby mi się zbiec.

Wagon był słabo oświetlony. Ludzi pełno. Złożyłem swoje zawiniątko i stanąłem na korytarzu przy drzwiach. Pociąg ruszył. Wszedł konduktor, przedziurawił bilety i poszedł dalej. Po chwili, z przeciwległej strony korytarza, wkroczył patrol żandarmów. Ciary mnie przeszły, kiedy w jednym z nich ujrzałem znajomego wachmistrza, który swego czasu konwojował mnie z Opatowa do Kielc. Poznał mnie. — Aaa! Servus P.O.Wej!— krzyknął. Błyskawicznie wyrwałem rewolwer i wrzasnąłem: Halt! — jednocześnie nacisnąłem drzwi i wyskoczyłem bokiem z pociągu. Upadłem na twarz z dość znacznej wysokości. Potłukłem się, uczułem trzask i ból w ręce. Z wagonu strzelali do mnie. W podnieceniu i zdenerwowaniu pociągnąłem cyngiel swego buldoga i wygarnąłem trzy razy, ale niepotrzebnie, buldog dawał znaczne błyski i wskazywał im cel. Na szczęście pociąg pędził dalej i kiedy wgramoliłem się na tor, ujrzałem tylko maleńkie czerwone światełko, które zaraz znikło. Odetchnąłem. A najbardziej zaimponował mi mój buldog. Ten stary grat — jakiż fantasta i neurastenik — strzelał wogóle bardzo rzadko. Często bębenek przekręcał się dokoła, nie wydając huku, czasem padł strzał i dwa, ale żeby trzy pociągnięcia za cyngiel dały trzy znakomite strzały, jako honorową odpowiedź na strzelaninę do mnie, tego po moim buldogu nie spodziewałem się nigdy.

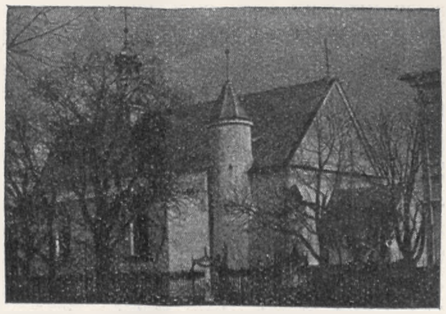
Było bardzo ciemno i deszcz lał coraz większy. Wpobliżu żadnej sadyby, gdyż usłyszałbym zapewne jakieś odgłosy, czy szczekanie psów. Poomacku poszedłem przed siebie. Byłem w lesie. Ciągnąłem moją zwichniętą rękę, co sprawiało ból. Przemoczony byłem do cna. Nie wiem kiedy natknąłem się na jakąś wśród lasu zagrodę. Teraz stwierdziłem, że mój tobołek i czapka zostały w wagonie.

W izbie panował mrok i zaduch, domownicy spali, tylko gospodarz człapał czegoś po izbie.

— Można przenocować? zapytałem — deszcz leje i niesposób iść dalej.

Chłop rozświecił przyćmioną lampkę i, nie patrząc na mnie, rzekł:

— Można, można.

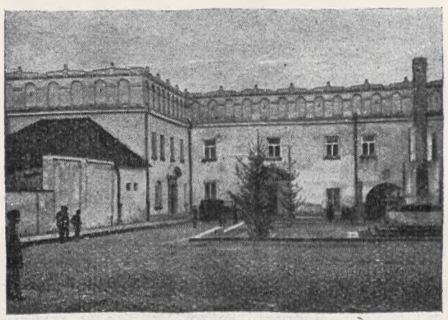


Kościół w Opocznie z czasów Kazimierza Wielkiego.

Powiedział to z taką rezygnacją, że gdybym go zapytał, czy można spalić chałupę, odpowiedziałby zapewne: można, można... Rozejrzałem się. Na barłogu, spało kilkoro dzieci, dalej, na zmierzwionej słomie, kręciło się dwóch malców, chłopaków okropnie bladych i brudnych. Z łoża wtrąciła się matka:

— Pod piecem, Michał, naściel słomy — powiedziała.

Twarz jej była chuda i żółta. Wstała. Wszyscy wstali. Ożywiło się. Bachory patrzały na mnie wielkiemi oczami. Skołtunione ich głowy na cienkich szyjkach i wynędzniałych ciałach, wyglądały jak brzydkie i niepotrzebne wiechcie. Stali niemi i nijacy, tylko najmłodszy wiercił ducki w pajdzie chleba i śmiał się. Gospodyni przeszła przez izbę jak kaczka i zaraz zginęła w pierzynie. Zapewne chciała pokazać swą pękatą brzemienność, ostrzec, że oto za chwilę może zacząć rodzić. Ale nie objawiała tem braku gościnności, przeciwnie, życzliwie patrzała na mnie.



Starostwo w Opocznie. Zamek z XIV wieku.

Ułożyłem się obok dzieci, ale nie mogłem usnąć. „Frybra" — jak to powiedział gospodarz — mną trzęsła. Zaledwie usnąłem, obudził mnie przeraźliwy krzyk; musiałem przenieść się do jakiejś stajni czy chlewu, ale i tu nie mogłem zasnąć.

Rano mówił mi gospodarz, że „łońskiego" roku było jeszcze gorzej, że całe dwa dni tak krzyczała, że wtedy to już wszyscy uciekli z chaty, a dziecko pomarło. Mówił to z jakąś pretensją i żalił się, jakgdyby nie był ojcem tych dzieci. Pożegnałem go. Deszcze jeszcze mżył, ale miało się na pogodę i po paru godzinach nastał cudowny dzień. Szedłem jakąś zapomnianą ścieżyną, a może kiedyś drogą. Widzieliście przecież takie umarłe dróżki leśne, któremi już nikt nie jeździ. Słońce szło coraz wyżej, i bór, sosny, ptactwo i ja byliśmy weselsi. Czuby drzew, ozłocone promieniami słońca szemrały swoje szumy, i cały bór tonął w uroczystem nabożeństwie. Zdjąłem zarzutkę, przefarbowany mundur legjonowy, ażeby wysechł i litowałem się nad swoją jedyną podartą koszulą. Tęskniłem za tobołkiem, który został w pociągu. Była tam też fotografja mojej jasnej Lili, — dlaczego nie miałem jej przy sobie?... Jestem znużony, leżę na słońcu, wokół szemrze las. Usnąłem i spałem dość długo. Obudziłem się z dużym bólem głowy. Zdaleka słychać było turkot wozu — pobiegłem w tym kierunku i wyszedłem na szeroki trakt do Białaczewa.

Nie wiedziałem nawet kiedy najechała na mnie bryka pełna żandarmów. Wpadłem w absolutną rezygnację i myślę, że właśnie ta obojętność wprowadziła mnie w dobrą grę. Powiedziałem, że uciekam z Rosji, do swoich rodzinnych stron i żadnej legitymacji nie mam. A dokąd? — do Częstochowy. Pod Częstochową mam rodzinę. Zaprosili mnie. Na posterunku rewizja — nic nie znaleźli, rewolwer zostawiłem w lesie, wdeptałem w miękki mech. Miałem wrażenie, że nie wiedzą, co mają ze mną robić. Wieczorem wsadzili mnie do jakiejś alkowy. U góry było okno, ale takie maleńkie, że odebrało mi wszystką nadzieję ucieczki. Ciągle byłem obojętny i uprzejmy, opowiadałem jakieś niestworzone historje o rewolucji w Rosji i dziękowałem, że się mną zaopiekowali. W alkowie położyłem się na pryczy i udałem, że śpię. Żandarmi długo gadali, chodzili, jedli. Zdaleka słyszałem rozmowy telefoniczne. Po północy zajrzał ktoś do mnie i zamknął drzwi na klucz. Ogromnie męczy taka natężona uwaga, zamienienie się w słuch, które trwa tyle godzin. Słyszałem, jak zegar bił drugą po północy. Wpatrywałem się w moje okienko, które wisiało nade mną, jak gwiazda nadziei. Przez zapatrzenie wydawało mi się, że to jakiś wspaniały pejzaż roziskrzonej Wielkiej Niedźwiedzicy... jakby go zdjąć? — wspiąłem się — było to takie okienko bez zawiasów, umocowane na zagiętych gwoździach. Zacząłem palcami odginać gwoździe. Nie

szło to łatwo — pokaleczyłem się. Jaka cholera nabiła tam tyle gwoździ! Czy aby zdołam przejść przez ten otwór. Okienko ustępuje, za chwilę będzie w moich rękach. I znowu jestem silny i wolny! Stwierdzam zupełnie objektywnie: po mistrzowsku wylazłem z tej nory. Przesadziłem płot i zacząłem biec. Na gościńcu opadły mnie psy. Uciekałem ile sił było we mnie. Na skraju wsi zerwałem żerdź z płotu aby się bronić. Wszędzie szczekały psy. Jakież wściekłe były te kundle białaczewskie! Gdyby nie drabiniasty wóz, co o świcie zadudnił na gościńcu i jechał w moją stronę — nie wiem, czy uszedłbym cało. Broniłem się uparcie, i niektóre kundysy z rezygnacją odpadały od sfory, ale to były łagodne pieski. Woźnica i jego bat zrobiły swoje. Parobczak był tak zajęty odpędzaniem psów, że na moją nietutejszą osobę nie zwrócił nawet uwagi. Ciekawie patrzał na okaleczenia i poszarpane spodnie, ale skąd, jak i o tej porze znalazłem się w Białaczewie — nie pytał. Zagadnąłem, czy w tę stronę do Końskich — w tę, a czy może mnie zabrać — nie, jedzie zaraz w bok, na pole. Spojrzał na mnie, jak na powsinogę, zaciął konie i pojechał.

Czułem się, jak lis w potrzasku. Droga odkryta, bez żadnych skryć; za mną wieś budziła się ze snu. Żandarmi mogliby mnie capnąć w każdej chwili. Dziwiłem się, że dotąd ich niema. Kilka kroków od gościńca stał stóg. Zdecydowałem ukryć się tam. Spojrzałem za siebie — widziałem ludzi, dalej jechał furgon. Pobiegłem. Zacząłem wciskać się w stóg, który okazał się dość luźnym, a ja byłem chudy jak chart i pełen jurnej młodości jak całe P. O. W. Wgrzebywałem się od spodu, skąd już siano było dobrze wyszarpane, i znalazłem się wreszcie w jakiejś dziwacznej pozycji. Nogi zamaskowałem garściami siana, które ciągnąłem, aby mieć więcej miejsca. Jak to wszystko wyglądało nazewnątrz — nie wiem i to mnie niepokoiło. Bo wyobraźcie sobie sensację: wyciągają człowieka za nogi ze stogu. Po chwili czułem się nawet nieźle i zdrzemnąłem się. Dopiero później brakowało mi powietrza, i strugi potu ciekły ze mnie, jak z rynny. Tuż przy mnie bawiły się dzieci, a kaskady śmiechów i krzyków rozweselały i mnie, biednego peowiaka w łonie sterty; wpadały zdyszane na stóg i odbijały się odeń, jak piłki, potem, zapewne z gościńca, dolatywały mnie ich kłótnie i nawoływania... A może wyjść... pobiegać z niemi, fiknąć na łące ze sto koziołków, zagrać z dziećmi w klipę?

Siedziałem tak do nocy. Wyszedłem, kiedy głęboka cisza zaległa świat. Mój nieszczęsny wygląd przeraziłby każdego. Jedyna nadzieja — to ob. Jasny-Gorzkowski, kolega z VII Okręgu, komendant obwodu P. O. W. w Końskich. Nad ranem, już niedaleko tego miasta, obmyłem się trochę i jakoś tam uporządkowałem odzienie, co właściwie na nic się nie zdało. Szedłem b. ostrożnie i wolno; wśród nocy, przez cały czas marszu, nie spotkałem nikogo.

Gorzkowski spał twardo i, kiedy go zbudzono, z przerażeniem patrzył na mnie. Poznaliśmy się przed pół rokiem w Opatowie, na bojowej manifestacji o traktat brzeski. Przyprowadził on wtedy kompanję ostrowieckich peowiaków, przebijając się przez kordon żandarmów i piechoty austrjackiej. Ob. Jasny-Gorzkowski (dzisiejszy poseł B. B.), należał do tych zawadjackich peowiaków z pasją, zawziętych, nieustępliwych i hardych. Porywał atoli nietylko płeć brzydką — copiękniejsze peowiaczki miłowały go i po kątach najczulej szeptali.

— Servus, Jerzy, jak tam na wymiączku!

(„Na wymiączku" — djalekt legjonowy, który częściowo przyjął się i w P. O. W.; znaczyło to samo, co: jak zdrowie, humor, powodzenie, lub we francuskim: comment ca va, comment allez vous.) Przywitaliśmy się serdecznie. Zaraz runąłem spać. Wkrótce wyszliśmy na miasto; — niktby mnie nie poznał; wygolony, elegancki dżentelman; — to Jerzy przybrał mnie w jakiś swój sznytowy garnitur, którego naturalnie już nigdy nie zobaczył.

Postawa peowiaków w Końskich, zastępca ob. Gorzkowskiego, ob. Franciszek Pianko, komendanci plutonów i sekcyj, to chłopy jak dęby. Miałem wśród nich wykład o broni i naprawdę podziwiałem dużą znajomość rzeczy tej doborowej braci peowiackiej. Nocą, za miastem, odbyły się wzorowe ćwiczenia. Zdawało się, że zdobędziemy świat.

Z satysfakcją wyjeżdżałem z Końskich!

— — — — — — — — — — — — — —

Upłynęło z górą dwanaście lat. Siedzę w którejś miłej warszawskiej knajpce, a obok mnie, w towarzystwie starych wiarusów, jak i ja, przy kieliszku — kochany Jurek Gorzkowski. Góra z górą... Poszliśmy we dwójkę gdzieindziej i, nie wiem kiedy, wytrąbiliśmy dobrą butlę koniaku, wspominając do świtu nasze czasy peowiackie.

Uroczystości w Częstochowie

(Odsłonięcie pomnika Prezydenta Narutowicza oraz poświęcenie sztandarów Związku Legjonistów i Peowiaków)

20 września 1931 roku przeżyliśmy, my, Peowiacy Częstochowscy, Wielki Dzień.

Zrzeszeni od lat kilku w Związku Legjonistów i Peowiaków, marzyliśmy o tem, by ufundować sobie sztandar.

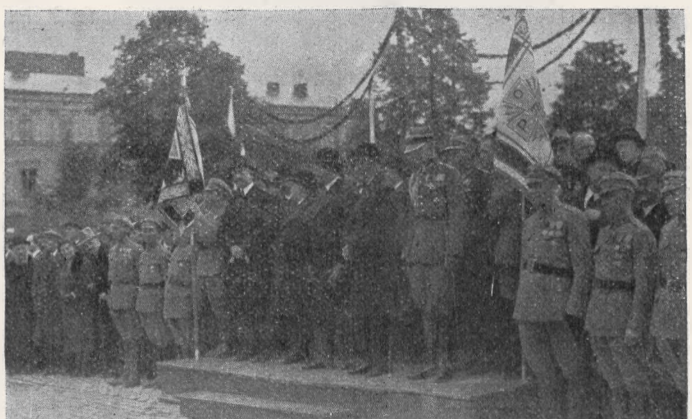
Myśl ta, poruszana na każdem niemal zebraniu, nie mogła się zrealizować z różnych powodów, ale najważniejszym był brak na to funduszów w naszej skromnej kasie związkowej.

Nie chcieliśmy kwestować, a urządzania karoty za pomocą rozsyłania gwoździ do innych związków nie uważaliśmy za właściwy sposób zbierania funduszów.

Zdawało się, że marzenie nasze nie ma już szans zrealizowania.

Ale natchnęła nas szczęśliwa myśl.

Jest przecież w mieście naszem duża liczba naszych ludzi — przyjaciół, z którymi stosunek do nas najbardziej życzliwy łączy nas nie tylko od chwili stworzenia Związku, ale i tych czasów sięga, gdy jedni z nas w siwych mundurach, inni w podziemiach dla Polski pracę swą nieśli.



Uroczystości w Częstochowie. Przed defiladą.

Postanowiliśmy zwierzyć się im, „zarazić" ich naszym kłopotem. Narada z jednym, pogawędka z drugim i... wkrótce powstaje Komitet Fundacji Sztandarów.

Mówimy im, że musimy się w Związku oddzielić — bo tak nam każą zgóry — na Peowiaków „czystej krwi" i Legjonistów. Dobrze — powiadają — to dostaniecie dwa sztandary.

O tem to już chyba żaden z nas nie marzył. Nas na jeden stać nie było, a tu odrazu dwa! Prawdziwy „Peowiacki", z naszym krzyżem i legjonowy.

Chętnie oddajemy się do dyspozycji Komitetu i... „rośniemy w pierze"...

Zaczynamy stawiać warunki! Skoro chcecie zafundować

sztandary — dobrze, ale my nie chcemy pieniędzy od tych, co to teraz gwałtem się do nas garną, a przed majem znać nas nie chcieli. Sle więc Komitet listy ofiar, ale za naszą zgodą i do naszych ludzi.

W krótkim czasie fundusze gotowe. Teraz zaczyna nam się roić po głowach wielkie święto... a możeby tak Komendant?... chyba nie będzie mógł... Może Obywatel Pułkownik Sławek... Prezes Minister Hubicki?... No, Prezes pewniejszy, przecie PREZES...

Zaczynamy robić starania... Nasz prezes puszcza się na „wywiady" do stolicy.

— — — — — — — — — — —

Równocześnie niemal Częstochowa nosi się z zamiarem odsłonięcia pomnika ś. p. Prezydenta Narutowicza.

W łonie członków Rady Przybocznej Zarządu miasta — naszych ludzi — powstaje myśl złączenia obu uroczystości w jedną. Przecież On o legjonistach nie mówił inaczej, jak „kochani chłopcy"... Dobrze... odwdzięczymy Mu się. Zróbmy wspólne święto.

— — — — — — — — — — —

Ostatnie dni przygotowań... chodzimy bez głowy... Prezes sypia w wagonie. Potrafił zarazić naszemi mrzonkami Warszawę.

Płk. Sławek kazał odbyć plenarne zebranie Zarządu Głównego Legjonistów w przeddzień uroczystości w Częstochowie. No to już chyba korona wszystkiego.

Dla nas nie... Przyjeżdża Prezes Hubicki... tylko jeden minister?... Mało... robi się szturm na Rząd... Roją się nam po głowach: Pani Marszałkowa,... Sejm... Senat... Generalicja... Omal nie... Zgromadzenie Narodowe.

Apetyt rośnie... ze skromnie pomyślanej uroczystości chcemy mieć święto całej Polski.

— — — — — — — — — — —

Wreszcie koniec... Sobota 19 września. Wieczorem zjeżdża cały Zarząd Główny Związku Legjonistów ze Sławkiem na czele. Prawie pół Sejmu gości Częstochowa.

Przybył również nasz Prezes, minister Hubicki ze swą czcigodną Małżonką.

Powitanie...

Około 10-ej zbieramy się w Kasynie Podoficerów 27 pułku na wieczerzy. Skwapliwie się do niej zabierają wszyscy — jedni po podróży — inni z nadmiaru wrażeń. Wkrótce wytwarza się atmosfera z przed laty...

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz od wczesnego ranka odświętnie przybrane ulice Częstochowy rozbrzmiewają śpiewem i muzyką. Wojsko, oddziały Przysposobienia Wojskowego, delegacje, Związki, szkoły, poczty sztandarowe z sąsiednich powiatów, ba! nawet z Tarnowa, Chrzanowa, Łodzi!... Wszystko śpieszy na Jasną Górę, gdzie o 9-ej rano ma odbyć się uroczyste nabożeństwo i poświęcenie sztandarów.

Przed Wielkim Ołtarzem Przeor Jasnej Góry O. Markiewicz celebruje uroczystą Mszę świętą, a po niej poświęca nasze kochane sztandary.

— — — — — — — — — — —

Na Placu Ratuszowym następuje ceremonja wręczenia sztandarów.

W imieniu Komitetu Fundacji przemawia dyr. Płodowski i kończy w te słowa: „...wiem, że oddaję je w pewne ręce, ręce dobrze dla Polski zasłużone..."

Sztandar Związku Legjonistów odbiera płk. Sławek, Peowiaków — min. Hubicki. Z kolei wręczają je dr. Gosiewskiemu i Grodzickiemu, jako Prezesom Okręgów, a ci oddają je Prezesowi Koła i Oddziału — ob. Kobyłeckiemu. Prezes składa ślubowanie i wręcza sztandary chorążym: legjoniście Nanysowi i peowiakowi Olejniczakowi.

Następuje podpisywanie aktów fundacji sztandarów.

Na podjum ustawiają się Goście, obok sztandary i rozpoczyna się wspaniała defilada wojsk regularnych, weteranów, starych wiarusów i najmłodszych organizacji.



Prezes, min. Hubicki, podpisuje akt fundacji sztandarów.

O 12-ej defilada skończona. Szpalerem, utworzonym z dziatwy szkolnej, radośnie witającej drogich nam Gości, a wśród nich swego zwierzchnika, Ministra Oświaty Jędrzejewicza, zdążają wszyscy do gmachu Teatru na akademję.

Zagaja ją płk. Sławek. Do stołu prezydjalnego zaprasza ministrów: Jędrzejewicza, Hubickiego, Kozłowskiego, wojewodę Paciorkowskiego, płk. Przedrzymirskiego, starostę Kuehna i d-ra Okuszkę.



Pomnik Prezydenta Narutowicza odsłonięty w Częstochowie dn. 20 września 1931 r.

Po chwili powstaje i wygłasza przemówienie o naszem święcie. „Sztandary te otrzymaliście nie dla parady — kończy prezes Sławek — mają was pobudzać do dalszych czynów dla dobra Polski"...

Z kolei min. Jędrzejewicz w przepięknym referacie mówi o Częstochowie, jednej z duchowych stolic Polski, „gdzie tradycja i teraźniejszość z ofiarą, wielkością i świętością jest związana"...

„Rola sztandarów legjonowych i peowiackich — mówi min. Jędrzejewicz — nie jest zakończona, historja ich nie jest jeszcze zamknięta"... „Jeszcze żyjemy, jeszcze pracujemy, jeszcze jesteśmy... my, Legjony... my peowiacy"... „Zadanie nasze, rozpoczęte w huku armat i grzechocie karabinów maszynowych, rozwija się dalej w pokojowych warunkach"...

Wreszcie minister Hubicki mówi o Prezydencie Narutowiczu, o jego przykładzie ujmowania po europejsku zagadnień państwowych, hasła wypisanego na sztandarach wszystkich rządów Marszałka.

Na podjum wstępuje prezes Kobyłecki; odczytuje nadesłane depesze od nieobecnych: min. Pierackiego, Starzyńskiego, generałów: Rydza-Śmigłego, Olszyny, Dąbkowskiego, Dreszera, płk. Rusina, Głazka i wielu, wielu innych, których nie sposób wymienić. W imieniu Związku dziękuje wszystkim Gościom za zaszczyt, jaki nas spotkał.

„Sztandary te — mówi — otrzymaliśmy niejako indygenat szlachectwa — nie dziedzicznego wprawdzie, ale dozgonnego, bez przywilejów — ale za to z ogromem obowiązków, które chętnie przyjmujemy. Boć my — żołnierze Komendanta — tylko dla Polski żyjemy".

Ustawiony za sceną chór robotniczy „Pochodnia" pieśnią „My pierwsza brygada..." kończy uroczystość, na zawsze pozostałą w sercach uczestników.

— — — — — — — — — — —

Teraz wszyscy udają się do parku im. Prez. Narutowicza na Zawodziu.

Nie wiem, czy kiedykolwiek Częstochowa widzieć tam będzie takie tłumy.

Na tle widniejącego zdala gmachu szkoły miejskiej wznosi się pomnik Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej — co, jak Leguny i Peowiacy — życie Swe oddał dla Polski. Tysięczny tłum czeka uroczystej chwili opadnięcia zasłony, kryjącej oblicze wielkiego Obywatela.

W imieniu Zarządu Miasta mówi Kierownik tegoż Komisarz Mazur, prezes Federacji. Mówi o czynach i życiu Prez. Narutowicza na emigracji i Jego ofiarnej pracy w Polsce. Prośbą o odsłonięcie pomnika przez przedstawiciela Rządu kończy swe przemówienie. Na mównicy staje minister Kozłowski. W mocnych słowach podkreśla świetlaną postać Prezydenta, jako symbolu siły moralnej, tak potrzebnej dla naszego Narodu, „by małość w Polsce nie miała już nigdy miejsca"... Imieniem Rządu Rzeczypospolitej odsłania pomnik Jej pierwszego Prezydenta.

Obnażają się głowy. Baterja oddaje 21 strzałów armatnich.

Wśród cudnego śpiewu „Pochodni" „Gaude Mater Polonia" młodzież ściele kwiaty u stóp pomnika.

Uroczystość skończona.

— — — — — — — — — — —

W salach kasyna oficerskiego 27 pułku zasiadają goście do obiadu, a równocześnie w koszarach tegoż pułku zaczyna się obiad żołnierski dla „braci legunowo-peowiackiej".

Sławek i Hubicki goszczą i u jednych i u drugich.

I tu i tam nastrój jednaki... podniosły...

— — — — — — — — — — —

O godzinie 5-ej drodzy nam goście odjeżdżają...

Zegnając się, o jedno mają do nas pretensję:

...„że nie było bałaganu"...

Aleksander Bogobowicz.

Z GRAJEWA

W dniu 4 czerwca odbyło się w sali Sejmiku doroczne Walne Zgromadzenie członków Koła Powiatowego Związku Peowiaków w Grajewie, na które przybyli również prezes Okręgu Suwalskiego, ob. Michał Fulmyk i członek Zarządu Okręgu, ob. dr. Sienkiewicz.

O godz. 9 min. 30 zebrani udali się w kolumnie czwórkowej do kościoła parafjalnego na nabożeństwo, po którem wzięli udział w procesji Bożego Ciała.

Po powrocie z procesji rozpoczęły się obrady, które zagaił prezes Koła, ob. Stefanus, przemówieniem powitalnem.

Do prezydjum powołani zostali: na przewodniczącego — ob. Fulmyk, na sekretarza — ob. Nieczyperowicz i na asesorów — ob. Marczyński, ob. Kuczyński i ob. Gutowski.

W imieniu Zarządu złożył sprawozdanie za rok ubiegły ob. Stefanus, podnosząc wielką żywotność Koła w zakresie zarówno spraw organizacyjnych, jak i pracy społecznej. Na szczególne wyróżnienie zasługuje działalność skecji Bratniej Pomocy, która swoją ruchliwością i zapobiegliwością pomogła kilku członkom Koła w uzyskaniu posad, a wielu innych uchroniła od ruiny materjalnej przez wyjednanie im bądź to ulg w płaceniu podatków, bądź też pożyczek w Komunalnej Kasie Oszczędności.

Po sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej, jednomyślnie udzielono ustępującemu Zarządowi absolutorjum, poczem na wniosek Komisji Matki z poprawką ob. Wiktorowicza do Zarządu wybrani zostali: na prezesa — ob. Stefanus, na wiceprezesa — ob. Dąbrowski, na sekretarza — ob. Wiktorowicz, na skarbnika — ob. Niesiobędzki i na członków — ob. ob.: Baraniecka, Dzięgielewski i Kuczyński. W skład Komisji Rewizyjnej weszli ob. ob.: Piekarowicz (przewodniczący), Kiełczewski i Borawski, oraz na zastępców — ob.ob.: Kosmowski i Albiński.

Po zakończeniu dyskusji krótkie przemówienie wygłosił ob. Fulmyk, wznosząc okrzyk na cześć Marszałka Piłsudskiego, który zgromadzeni podchwycili z entuzjazmem, poczem odśpiewali „Pierwszą Brygadę".

WYJAŚNIENIE

Dla uniknięcia nieporozumienia z powodu artykułu p. t. „Mordercy pruscy w Międzyrzecu", zamieszczonego w Nr. 3 (6) „Peowiaka" z b. r. Redakcja wyjaśnia, że wyrażenie „...iż przyczynili się do tej zbrodni i nasi rodacy z t. zw. Komitetu Obywatelskiego..." zupełnie nie tyczy się Komitetu Obywtelskiego w Międzyrzecu, jak również wymienieni jako pomocnicy Prusaków: Stanisław Tochman, Lotocki, Czarnecki, Komorzeniec i Juljan Abramowicz, nigdy do Komitetu Obywatelskiego w Międzyrzecu nie należeli.

SPROSTOWANIA

W ostatnim sierpniowym (7) numerze naszego pisma wkradły się następujące omyłki druku:

w artykule A. B. „Kompanja kadrowa a P. O. W." w pierwszym wierszu zamiast 1931 r. winno być 1831 r.;

w artykule ob. Z. Rakowieckiego „Czasy peowiackie" w trzecim wierszu od końca zamiast „ze skutkiem", winno być „musiałem ze smutkiem wycofać się z Iłży";

w artykule „Z prac P. O. W. w Łowiczu" w dziesiątym wierszu od dołu środkowej szpalty, zamiast „ob. Borkiewicz" winno być „ob. Adam Przybylski";

w sprostowaniach na str. 12 zamiast „niektóre", winno być „niestety";

wreszcie w sprawozdaniu ze Zjazdu Legjonistów zostały przez niedopatrzenie opuszczone niektóre fragmenty mowy ob. prezesa pułk. Sławka, co naprawiamy, podając niżej w pełnem brzmieniu zniekształconą poprzednio część tego przemówienia:

Koledzy!

Każdy z nas — jadąc na zjazd legjonowy — pragnie w koleżeńskiem gronie minioną przeszłość ożywić, — we wspomnieniach i opowiadaniach jeszcze raz ją w duszy swej przeżyć.

Spotkać, zobaczyć przyjaciół, rozproszonych dziś po całej Polsce i na najrozmaitszych odcinkach pracy. — To jest jedno uczucie, które w duszy mamy, kiedy w przepełnionych wagonach tłumnie na walny zjazd ściągamy.

Ale obok tego każdy z nas, gdy na zjazd się wybiera, ma nawpół skonkretyzowaną nadzieję, że otrzyma jakieś wyjaśnienia i wskazania, dotyczące rzeczy nie już minionych, lecz przyszłych, stojących jeszcze przed nami.

W odbudowanie Państwa Polskiego każdy z nas włożył nie byle jaki wysiłek, dlatego każdy żywi troskę, by dorobek naszych trudów nie został zmarnowany, dlatego każdy czujnem sercem chwyta to, co znamionuje naszą siłę i moc — dziś i na przyszłość.

To związanie przeszłości z teraźniejszością i przyszłością każdy z nas czuje i po swojemu rozumie. Lecz przedtem byliśmy skupieni w oddziałach i mogliśmy całą troskę o to, co się dzieje, czy ma dziać — złożyć na naszych dowódców, a przedewszystkiem na barki Komendanta naszego — Józefa Piłsudskiego.

Dziś — zależnie od teoretycznego przygotowania, zależnie od fachowych zdolności, zależnie niekiedy od przypadku — różne spełniamy funkcje.

Życie nasze bardziej się skomplikowało. Niektórym z nas wypadło wziąć na siebie i samodzielny odcinek pracy i poczucie odpowiedzialności za nią. Wielu rozproszyło się w tak różnorodnych dziedzinach życia, że łączność między nami musiała stać się inną.

To też tłumnie śpieszymy na nasz zjazd, by przynajmniej jakąś wspólną myśl, czy linję kierunkową działania wywieść i na swoim odcinku realizować.

A każdy z nas w zetknięciu z otoczeniem ma poczucie może nie tyle swojej jakiejś wyższości, lecz poczucie, że jest inny, że się od tego otoczenia różni zakresem i rodzajem swoich zainteresowań.

Przed siedemnastu laty Komendant w rozkazie swym do nas kazał nam być awangardą w narodzie. Awangardą tą jesteśmy i teraz, bo nikt nas dotąd nie prześcignął w tej gotowości służenia sprawie. Związaliśmy honor osobisty ongiś z godnością narodu — a później z dostojeństwem państwa — i wytrwaliśmy.

Lecz być awangardą — to znaczy prowadzić za sobą innych, drogę im torować i wskazywać. Byliśmy garstką, a chcemy, by naród cały wartości, które myśmy z siebie wydobyli, zrozumiał, odczuł i sobie przyswoił — i to zarówno pokolenia dziś żyjące, jak i te, które po nas przyjdą.

Tak samo jak w dawnych dziejach Polski nieliczne grupy wśród bierności ogółu dźwigały na sobie cały ciężar odpowiedzialności za honor i losy narodu, tak i myśmy ją dźwigać musieli.

Jakim był nasz wysiłek, niech świadczy przykład Kasy Oficerskiej I Brygady. Pragnę, by przykład ten został szeroko zrozumiany — dlatego nieco obszerniej nad nim się zatrzymam.

Sztab austrjacki chciał mieć z Legjonów atut polityczny, że Polska opowiada się za Austrją. — Chciał jednak, by one nie urosły do siły dla samej Austrji niebezpiecznej. Niebezpiecznym dla niej, bo niezależnym, był Komendant Piłsudski, to też za namową Tadeusza Cieńskiego i Stanisława Strońskiego, ówczesnych członków galicyjskiego Naczelnego Komitetu Narodowego, — II Brygadę izolowano z pod wpływu Komendanta i wysłano we wschodnie Karpaty. Stworzoną później III Brygadę poddano też pod komendę austrjackiego oficera. Izolacja była głęboka i starannie podtrzymywana. Jeśli więc z czasem i tam dotarł wpływ Komendanta i pobudził większość do solidarnego z nami działania, to było to świadectwem tych wartości, jakie posiadał żołnierz polski we wszystkich formacjach legjonowych.

Ale tylko I Brygada, która miała szczęście być pod bezpośrednim dowództwem Komendanta Piłsudskiego, mogła się stać temi rękami, za pomocą których Komendant wielkie swoje plany realizował.

Zasadniczy plan opierał się na tem, że państwa — wojujące między sobą — stopniowo zużywać będą swe siły i że pod koniec wojny mogą one być już zupełnie wyczerpane. Że Polska sprzeczności i kolizje wojenne powinna wykorzystać dla budowania własnej siły zbrojnej — poto, by ona doszła do głosu w okresie końcowego, maksymalnego wyczerpania sił zaborców.

Formacje Frontowe chciał Komendant widzieć jako szkołę bojową, w którejby się wychował bohaterski typ żołnierza polskiego. Rozwinięcie tych formacyj do bardziej znacznej liczby, czy też zorganizowanie i schowanie rezerw w postaci tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej, — Komendant uzależniał od tego, czy się państwa centralne pod naciskiem swoich trudności wojennych zdecydują na uczciwe traktowanie sprawy polskiej, czy też nie.

Polska Organizacja Wojskowa miała się stać tą elastyczną organizacją rezerw, które wprowadzi się do działania dopiero w odpowiedniej chwili.

Pod względem wychowawczym Komendant pragnął urobić w Legjonach — niestety wpływ Jego w znacznie mniejszym stopniu mógł przenikać do izolowanych innych Brygad, a ograniczył się do Brygady I — ducha niezależności od imponujących swemi siłami liczebnemi i materjalnemi armij państw centralnych. Prowadziły do tego celu inne oznaki stopni wojskowych, inne — nieliczące się z etatami i nominacjami austrjackiemi — nominacje oficerów w Brygadzie, poczucie wyższości bojowej naszego żołnierza, nieprzejednany i zawsze wrogi stosunek do chwilowych wprawdzie kombatantów, lecz w każdym razie wrogich i dbających wyłącznie o swój interes zaborców.

W rezultacie pomimo wszelkich trudności — jakie to za sobą pociągnęło, I Brygada posiadała w swoim składzie prawie 2 razy tyle oficerów z nominacji Komendanta, niż to przewidywał etat i nominacje austrjackie. Ogromna ilość tych oficerów była odkomenderowana do prac na tyłach — do organizowania rezerw, które wszystkie razem objęte były z biegiem czasu przez Polską Organizację Wojskową.

Całego tego planu tak prostego, tak wyraźnego w ówczesnej naszej sytuacji i uzewnętrzniającego się w całej naszej pracy — społeczeństwo polskie nie rozumiało. Zbyt wiele złego zdołały już zrobić agitacje filo-rosyjskie, czyli filo-austrjackie — szerzone przez polityków szukających konjunktur lub też dobrej woli u zaborców, — a nie rozumiejących potrzeby chwytania za broń i trzymania tej broni we własnym ręku. To też społeczeństwo nie dało nam wówczas prawie żadnego poparcia materjalnego. Gdy wpłynął ze składek jakiś grosz drobny, to był on tak mizernie mały, jako ofiara na wojnę, mającą Polskę wyzwolić, że dzisiaj wspomnienie o tych ofiarach musiałoby chyba wywołać rumieniec wstydu.

Brygada zrozumiała, że skoro tanie odczepne, jakie od społeczeństwa na walkę naszą dostać możemy, środków materjalnych na prowadzenie całej pracy nie zabezpiecza, to musimy my sami — oficerowie I Brygady — dać swoje gaże oficerskie.

W grudniu 1914 roku, gdy po raz pierwszy wypłacono nam oficerskie pobory, odbyło się tu, niedaleko, w Lipnicy Górnej, oficerskie zebranie, które postanowiło: 1) Oficerowie ,posiadający nominacje austrjackie (a więc otrzymujący gażę), przelewają wszelkie swoje pobory do wspólnej Kasy Oficerskiej Brygady Piłsudskiego, 2) Oficerowie, mianowani przez Komendę Brygady (a więc niezależnie od tego, czy mają nominacje austrjackie, czy też nie) — pobierają miesięczną pensję z Kasy Oficerskiej w wysokości 100 koron, zrzekając się reszty na korzyść kasy...

W jednym z dalszych punktów uchwały czytamy: W razie przekroczenia powyższych uchwał i zainkasowania poborów w kasach rządowych lub w kasach innych instytucyj bez zezwolenia Kasy Oficerskiej — naruszający uchwałę zostanie pociągnięty do odpowiedzialności przed Sąd Honorowy.

Wybrana wówczas delegacja opracowała statut, w którym między innemi były następujące postanowienia: ...uchwałą zebrania oficerskiego w Lipnicy Górnej z dnia 30 grudnia 1914 r. zabrania się oficerom I Brygady pobierania jakichkolwiek pieniędzy z kas innych, zarówno N. K. N., etapów, jak i rządowych. Wykraczający przeciw powyższej uchwale będą pociągani do surowej odpowiedzialności oraz wykluczeni z grona oficerów I Brygady.

W jednym z dalszych artykułów jest mowa, że każdy oficer, któryby był niezadowolony z uchwały ogółu oficerów — ma prawo otrzymać pełną gażę urzędową, lecz w tej samej chwili musi wystąpić z I Brygady.

W ciągu roku 1915 Kasa Oficerska uchwaliła dodatek 50 koron miesięcznie dla oficerów odkomenderowanych na tyły lub przebywających tam na skutek choroby.

Z pieniędzy — w ten sposób wnoszonych do Kasy Oficerskiej szły stosunkowo niewielkie kwoty na zapomogi dla rodzin, na pożyczki, częściowo i ekwipunek i t. p. nie dające się uniknąć wydatki. Większe sumy pochłaniała pomoc dla rannych żołnierzy, oraz pozycje figurujące w sprawozdaniu pod tytułami: „Kasa Brygady", „Fundusz Dyspozycyjny", „Organizacja".

W roku 1916 — na skutek ogólnego podrożenia pensje wypłacane przez Kasę Oficerską każdemu oficerowi — bez różnicy stopnia — zostały podniesione do 200 koron miesięcznie.

Dalej, jak w Nr. 7 (10) „Peowiaka".

KILKA SŁÓW O ZWALCZANIU POŻARÓW



Zdjęcie I.



Zdjęcie II.

Niszczycielskie działanie ognia powoduje corocznie, w razie niespodziewanego wybuchu pożaru i nieopanowania go w zarodku, poważne straty materjalne.

Wielkie miasta, utrzymujące odpowiednio zorganizowane straże pożarne, są stosunkowo bardziej zabezpieczone na wypadek ognia, miasteczka natomiast i wsie, gdzie niema ani hydrantów, ani wodociągów, ani urządzeń alarmowych i telefonów, muszą liczyć się z większem niebezpieczeństwem ognia. Straże ochotnicze, o ile nawet są zorganizowane, to w większości wypadków, wskutek braku funduszów, nie posiadają odpowiednich urządzeń ,a więc pomoc, jaką dać mogą, jest częstokroć opóźniona lub niewystarczająca. To też używanie przyrządów do gaszenia ognia w zarodku, a więc w pierwszym rzędzie gaśnic, powinno być powszechne.

I w wielkich miastach widzimy w urzędach, bankach, koszarach, fabrykach gaśnice, które umożliwiają nawet w najgroźniejszych wypadkach wybuchu płynów i materjałów łatwopalnych, ugaszenie ognia przed przybyciem straży pożarnej, w ciągu kilku minut.

Potwierdził to niezbicie pokaz gaszenia aparatami, dostarczonemi przez firmę „Bielany" w Warszawie, Kamedułów 71, który urządzono latem b. r. na terenach Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Ułożono w tym celu dwa stosy z drzewa szczapowego o wysokości 2 metrów, oblano je obficie naftą i benzyną i podpalono. Po upływie kilku minut, gdy drzewo już dobrze rozgorzało, przystąpiono do gaszenia. Ogień został całkowicie ugaszony przed upływem jednej minuty, przyczem użyta gaśnica nie była wyczerpaną.



Zdjęcie III.

Pokaz ten miał również cel instrukcyjny zaznajomienia zatrudnionych w Ministerstwie woźnych z obsługą gaśnic.

Interesujące zdjęcia fotograficzne, przedstawiają stos w chwili zapalenia (Nr. I) w kilka sekund po rozpoczęciu gaszenia (Nr. II) i przy dogaszaniu (Nr. III). Wielkie kłęby dymu i płomienie dają nam należyty obraz rozmiarów ognia.

Pokaz ten dowiódł raz jeszcze bezkonkurencyjnej dobroci i przydatności gaśnic pianowych, produkowanych przez firmę „Bielany". Gaśnice, wyrabiane przez wspomnianą firmę, gaszą równie dobrze drzewo, jak karbid, benzynę, eter i inne materjały i płyny łatwopalne, tak że uważać je należy jako uniwersalne.

Henkor

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Widok 12 m. 1, tel. 698-53. Konto w P. K. O. Nr. 24.961.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki w godz. od 18-ej do 20-ej. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca

CENY PRENUMERATY: kwartalnie Zł. 1.50, półrocznie Zł. 3, rocznie Zł. 6 wraz z przesyłką pocztową

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strony Zł. 400, 1/2 str. Zł. 225, 1/4 str. Zł. 120, 1/8 str. Zł. 70. Ogłoszenia tabelaryczne, fantazyjne i opisowe o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Główny Związku Peowiaków. **Redaktor:** Stefan Mieszkowski.

Sp .Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.

II lista Peowiaków, odznaczonych Krzyżem lub Medalem Niepodległości,

sporządzona na podstawie list z „Monitora Polskiego".

Krzyż Niepodległości z mieczami.

ś. p. Jot-Bromirski Józef, ś. p. Chmielowski Piotr, Kobiałko Józef, ś. p. Czubaszek Stanisław, ś. p. por. Korczak Józef, ś. p. Kieszniewski Jerzy, Kominek Franciszek, Koszkówna Marja, Krzewska Marja (Górska), Klamut Antoni, Dr. Kamiński Władysław, płk. dypl. Kamski-Milan Maksymiljan, kpt. Kubin Adam, Kieszniewska Marja, ś. p. Kopeć Ludwik, Korczakowa z Damroszów Wanda, Kowalska z Benedeków Janina, Kościałkowska Anna, kpt. rez. Królikowski Muszkiet Henryk, ś. p. Luks Jan, mjr. dypl. Libicki Konrad, kpt. Lipiński Zenon, ś.p. Luks Czesław, ś. p. Łaniewski-Odrowąż Tadeusz, Łankiewicz Piotr, mjr. Łepkowski Jan, Łazarski Michał, inż. Machnicki Roman, Michałowski Zbigniew, płk. dypl. Matuszewski Ignacy, Mayzel Jan, Mizikowski Ignacy, Makowski Edward, ś. p. ppor. Mąka Aleksander Roman, ppłk. Majewski Tadeusz, kpt. Mazurkiewicz Jan, ś. p. Nitowski Jan, kpt. Nowaczek Stefan, ś. p. Nygowski Antoni, ś. p. Nagolski Jan, Nagórski Teodor, ś. p. Nieć Marjan, kpt. rez. Olejniczakowski Eugenjusz, Olszewski Piotr, ś. p. Pokutyński Michał, por. rez. Paszkowski Jerzy, por. rez. Piołunkowski Michał, Przegaliński Karol, Pacewicz Kazimierz, wachm. Paczewski-Wilk Marjan, ppłk. dypl. Pelc Stanisław Sylwester, rtm. Politański Tadeusz, Pisarski-Szreniawa Jerzy, Pisarski Stanisław, Pobereżna Sabina, ś. p. Popiel Rudolf, Puławska Jadwiga.

Krzyż Niepodległości.

Grabowska Wanda, mjr. dypl. Grudziński Juljan, kpt. Grzembo Witold, kpt. Gable Mieczysław, ś. p. Grabowiecki Zygmunt, gen. bryg. Kasprzycki Tadeusz, mjr. rez. Kirtiklis Stefan, Kot Stanisław, Kowalski Wincenty, mjr. dypl. Krzewski-Liljenfeld Karol, ś. p. Kuhnke Maciej Tadeusz, kpt. Kiełczewski Stefan, mjr. dypl. Klochowicz Kazimierz, por. rez. Kosterski Władysław, ś. p. ks. Kowalski Adolf, Krasuska Stanisława, ś. p. Kułagowska Marja, kpt. Kuśmirek Bronisław, Kalota Stefan, Kalwejt Feliks, Kałużyński Teodozjusz, Kamieńska Marja Aldona, ś. p. Kiełbass Feliks, ś. p. por. Kobzareff Mirosław, mjr. Koperski-Jamka Franciszek, kpt. dypl. Koziejowski Stanisław Antoni, Kozłowski Witold Mikołaj, st. sierż. Krynicki Wacław, Kujawska-Wasiutyńska Albertyna, Kulikowski Franciszek, por. Kieszniewski Stanisław, Kordowski Antoni, rtm. Kossowski Stanisław, kpt. Krassowski Kazimierz, por. Kupiński Leopold, por. Kwaśniewski Jan, ppłk. Kasza Władysław, ś. p. Kątski Rudolf, Kijowski Henryk, ś. p. Kolman Józef, kpt. Kołodziejczyk Stanisław Adam, kpt. Komarnicki Jan, por. Korsak Janusz, ś. p. Kosiński Marjan, ś. p. Kowrygo Mieczysław, ś. p. Kraśnicki Stanisław, Kalita Marjan, kpt. inż. Kalusiński Tadeusz, Kędzierski Piotr, Klepaczko Stefan, ś. p. Klimek Piotr, kpt. Klopper Franciszek, ś. p. Kosiba Stanisław, Kowalski Tadeusz Alfred, Dr. Kozłowski Leon, Kulesza Stanisław, Kuźmiński Aleksander, Kamiński Stanisław, Kąkolewski Henryk, kpt. Kopec Stanisław Franciszek, Koper Stanisław, Kownacka Anna, kpt. Kryska Jan Franciszek, Krzywicki Wacław, ś. p. Krzywonos Franciszek, kpt. Kukuła Tadeusz, ś. p. por. Laskowski Stefan, Leonowicz Paweł, mjr. inż. Leśniewski Michał, Lewińska Jadwiga, Lewkowiczówna Halina, por. Lipski Tadeusz Paulin, kpt. Lewiński Czesław, kpt. Lenkiewicz Wacław, ś. p. Lizak Antoni, Lampert Tadeusz, Leczycki Kazimierz, ś. p. Leśniak Bronisław, Dr. Łuniewski Witold, inż. Łaguna Stanisław, Łychowski Tadeusz, Łopuski Zenon, ś. p. Łuszczewski Antoni, ppłk. dypl. Muennich Tadeusz Stefan Aleksander, por. Machcewicz Władysław, kpt. Majewski Zdzisław Marjan, Marcinowska Jadwiga, Mazurkiewiczowa Jadwiga, ppłk. Mączka Andrzej, Mejstrowa Wanda, Miedzińska Janina, Dr. Milewski Tadeusz Teofil, inż. Miszewski Włodzimierz Zygmunt, Małowieski Józef, kpt. Masłowski Kazimierz, kpt. Michalski Jan II, chor. Michalski Kazimierz, Michałowski Zbigniew, kpt. Modliński Stefan, kpt. Musielski Władysław, Maciejewski Antoni, podkom. P. P. Makowski Roman, ś. p. Marek Stanisław, ś. p. por. Matuszewski Józef, kpt. Mrozowski Feliks I, ś. p. Moszczeńska z Rogalewiczów Jadwiga, Myszczyński Franciszek, Machowski Stanisław, Mądrzycki Kazimierz, Michno Władysław, kapitan Majewski Romuald, Marjański Jan, ś. p. Maurin Bronisław, Miszkiel Dominik, kapitan Mizgalewicz Rudolf, Monne Kazimierz Karol Tadeusz, Dr. Anczyc - Muellerowa Stanisława, Nowicka Filipina, ogn. Nowicki Władysław, Nittman Tadeusz, Narbutt Wincenty, Niedbalski Józef, kpt. Nitecki Henryk, por. Nowakowski Stanisław, ś.p. por. Nowicki Henryk, Nowińska Cecylja, por. Niepokulczycki Franciszek, kpt. Niedzielski Edward, Nowicki Henryk, Nowicki Zygmunt, kpt. rez. Nowicki Teofil, por. Nowosielski Eugenjusz, ppłk. dypl. Niezabitowski Tadeusz Ludwik, ś. p. ppor. Neuman-Spława Józef, ś. p. Ostrowski Antoni, kpt. Olędzki Józef, ś. p. Osiński Włodzimierz, ppłk. Dr. Osmólski Władysław, Ostrowski Janusz, Osiński Saturnin, ś. p. por. Ostrowski Stefan, Olędzka Stanisława, ś. p. Oczkiewicz Władysław, por. Okulicz Leon, Ostrowska Karolina, ś. p. Ostrowski Stanisław, Ożarowski Władysław, Pajdowski Mikołaj, Piasecki Jan, Dr. Piątkowski Władysław, Podhorska Marja, Prawdzik Jan, ś. p. Pstrokoński Władysław, kpt. Pakowski-Szarota Tadeusz Władysław, kpt. Paprocki Stanisław, por. rez. Pietkiewicz Stanisław, kom. P. P. Pławiński Tadeusz, inż. Pohoski Jan, ś. p. Polinkiewicz Feliks, Popławska Wanda, ś. p. Przyborowski Tadeusz, por. Pabjan Marceli, ś. p. Piotrowicz Izaak, Pióro Stefan, ś. p. Pokój Franciszek, kpt. Panecki Piotr, pinsp. P. P. Płotnicki Jan, kpt. Pysz Jan, kpt. Pasierb Władysław, por. Pasternak Henryk, Pawlik-Dobrowolski Leonard, Andrzejkowicz-Piechowska Władysława, ś.p. Piekarski Włodzimierz, Pieńkowski Stanisław, kpt. Dr. Pigłowski Władysław,

Medal Niepodległości

otrzymali:

ś. p. Aksamit Wincenty, ś. p. Andnuszkiewicz Witold, ś. p. Asłanowicz Mieczysław, Augustowski Kazimierz, kpt. Bełdowski Lucjan, kpt. Bieganowski Stefan Szczęsny, ppor. Bielański Michał, kpt. Bielejec Józef, por. Binder Władysław Paweł, ś. p. Bobiński Stanisław, por. Bobrocki Mieczysław, Borkiewiczowa Zdzisława Janina, ś. p. Borkowski Jan, ś. p. Boryszewski Aleksander, kpt. Bugajski Jerzy, Burawska Wanda, Bogdanowicz Stanisław, Bazylko Stanisław, ś. p. Blitek Henryk, Bogusławski Edmund, Baranowska Irena, Barzykowska Marja Ludwika, Bukowski Jan Chamcówna Marja, Chamiec Bronisław, Chomiński Ludwik, Cywińska Karolina, inż. Cybulski Bronisław, por. Chełkowski Antoni, ś. p. Chełmiński Stefan, ś. p. Chmurska Wanda, Chodowiecka Jadwiga, por. Cichocki Stefan, ś. p. Ciepliński Franciszek, por. Czank Augustyn, Czernikowski Feliks Czesław, kpt. dypl. Czyżewski Marjan, por. Danhoffer Włodzimierz, ś. p. Dąbrowska Czesława, por. Dąbrowski Marjan Mieczysław, ś. p. Deletkiewiczówna Pelagja, ś. p. Dereń Antoni, ś. p. Dobrowolski Zygmunt, por. Domaradzki Stefan Józef, por. Dorautt Jan, kpt. Dyduch Henryk, ś. p. Dysko Włodzimierz, Dyszy Stefan, ś. p. Dzierżyska Romualda, Daszewska Emilja, Drzewiecki Teodor, ś. p. Dłuski Henry, inż. Dabiński Stanisław, Działakówna Stefanja, ś. p. Ehringer Aleksander, ś. p. Eminowicz Włodziemirz, ś. p. Gazdocki Leopold, ś. p. Godlewski Aleksander, por. Goligowski Janisław, Marjan Antoni, ś. p. Gołębiowski Tadeusz, ś. p. Górski Jan, kpt. Grabiński Roman, ś. p. Grap. Grot Józef, por. Gryczyński Włodzimierz, ś. p. Grzymokowski Jan, ś. p. Grzymkowski Jan, Grumertówna Kazimiera, kpt. Halski Stefan Tadeusz, ś. p. Hałuszkiewicz Juljan, Handelsmanówna Helena, ś. p. Hellwig-Helbrig Stefan, ś. p. Hermanowski Juljan, ś. p. Hoffman Michał, Dr. Hołówko Helena, por. Horak Edmund, inż. Horyd Zygmunt, por. Hrabowski Władysław, ś. p. Ichnowski Jan, mjr. Iwaszko Ludwik, kpt. Jagiełłowicz Władysław Włodzimierz, ś. p. por. Jakubowski Tadeusz, kpt. Jandura Tadeusz, mjr. Janowski Tadeusz Antoni, kpt. Jarnuszkiewicz Jan Lech, ś. p. Jazdowska Antonina, ś. p. Jemielita Zygmunt, Jędrzejewiczówna Marja, Jeleński Olgierd, Jarecka Irena, ś. p. Jędrykówna Zofja, Kietliński Bronisław, por. Kuczkowski Leonard, por. Kudelski Bolesław, ś. p. kpt. Kotwica Józef, ś. p. Kozłowski Romuald, Kamiński Jan, Kropniwnicki Wilhelm, ś. p. Kania Walenty, ś. p. Karabatówna Stanisława, ś. p. Karwasiński Aleksander, por. Karwowski Bolesław, por. Karyszkowski Stefan, kpt. Kasperski Józef, por. Kaszewski Jan Kazimierz, kpt. dypl. Kawałkowski Aleksander II, por. Kawczyński Tadeusz, ś. p. Kędzierski Piotr, por. Kiełczewski Aleksander, ś. p. Szafirówna-Kieszkowska Zofja, por. Kleczyński Bohdan, ś. p. Kleindienst Ludwik, por. Klimowski Anatol, por. Kociejowski Stanisław, kpt. Komorowski Adam Mieczysław, ś. p. Konówna Zofja, mjr. Kornaus Władysław, ś. p. Kowalczyk Aleksander, ś. p. Kozakiewicz Stanisław, ś. p. Kozłowski Antoni, ś. p. Kozłowski Hieronim, por. Kulbicki Stanisław, ś. p. Kula Jan, Lamparski Ludwik, ś. p. Lenczewski Stanisław, b. p. Lindenszat Herman Wiktor, kpt. Lis Jan, ś. p. Liszewska Marja, ś. p. Lisowski Stanisław, por. Luśniak Józef, ś. p. Luto Józef, Lubka Stanisław, mjr. Lewandowski Feliks,

FUNDUSZ PRASOWY

Redakcja „Peowiaka" serdecznie dziękuje W. P. Gen. Juljanowi Stachiewiczowi za złożone na fundusz prasowy 50 złotych.

Odpowiedzi Redakcji

Ob. Kmicic. Wehrmachtowcy osobnego związku nie mają i do b. legjonistów zaliczać ich nie należy. Jeżeli służyli po rozbrojeniu okupantów w W. P., mogą należeć do Stowarzyszenia Rezerwistów.

Peowiacy z Konina. Artykuł Wasz nie nadaje się do zamieszczenia w „Peowiaku", tembardziej, że jest to anonim. Wyjaśnienie prześlemy pod adr. ob. Niedźwieckiego.

Ob. Stefan Wesołowski w Ostrowach. Należy przesłać do Komisji Krzyża P. O. W., Warszawa, Al. Ujazdowskie 37, wypełniony kwestjonarjusz, który Wam nadeśle Komisja lub Koło Związku we Włocławku. Na kwestjonarjuszu winny być opinje 2-ch Waszych b. przełożonych. Nadmieniamy, że termin składania wniosków już upłynął i Komisja może go przyjąć tylko w drodze wyjątku.

OD ADMINISTRACJI

Z powodu licznych reklamacyj, tyczących się numeru wrześniowego, Administracja „Peowiaka" wyjaśnia, że zmuszona była zaniechać wydania tego numeru, opatrując niniejszy numer październikowy Nr. 8 (11) i zaliczając go prenumeratorom, którzy wnieśli opłatę za wrzesień b. r.

Redakcja poszukuje
ob. WŁADYSŁAWA KRAWCZENKO
pseudonim „WIERNY",
który brał udział z bronią w ręku, jako kierownik i były komendant P. O. W. placówki w Strzegowie w akcji dywersyjnej w napadzie na posterunek żandarmerji w Strzegowie w dn. 17 października 1918 r.

KRONIKA GOSPODARCZA

A. Giełda pieniężna z d. 10/X-1931 r.

WALUTY	Płacono złotych 1.IX.—10.X 31.		UWAGI (G. H./A. W. i P. G.)
Za Dolara St. Zjedn.	8,92	8,85	*Stopa dyskontowa* Banku Polskiego 7½%
„ Funta angielsk.	43,51	34,36	*1 Gram czystego złota* 5 zł. 92,44 gr.
„ Franka francusk.	0,35	0,35	*Na giełdach zagranicznych:*
„ Franka szwajcarsk.	1,74	1,74	Złoty polski bez zmiany
„ Markę niemiecką	2,11	2,08	nieznaczny spadek dolara Stan. Zjedn.
„ Guldena gdańsk.	1,74	1,73	i marki niemieckiej.
„ Koronę czeską	0,26	0,26	Funt ang. wciąż utrzymuje się na swym
„ Rubla złotego	4,77	5,75	niskim poziomie.
			Reszta walut bez znaczniejszych zmian.

B. Giełda rolnicza z d. 10 X-1931 r.

W złotych za 1 centnar metryczny (100 kg.)	Warszawa	Poznań	Lwów	Wilno	Warszawa — wszystko w złotych	
pszenica	23,25	20,96	22,00	24,05	ziemniaki za 100 kg	6,50
żyto	21,43	22,05	20,75	23,00	wołowina I g. za 1 kg	1,65
jęczmień browar.	22,00	23,00	—	23,50	wołowina II g. za 1 kg	1,45
jęczmień zwykły	19,56	19,25	17,25	19,00	cielęcina I g. za 1 kg	2,20
owies	20,68	18,25	22,00	20,00	wieprzow. mięsna 1 kg	1,70
mąka pszenna 4/0	45,00	—	41,50	—	jaja za 1 szt.	0,13
mąka żytnia przepis.	37,00	—	36,00	—	masło I gat. za 1 kg	4,30
otręby żytnie	12,50	13,00	11,25	14,00	masło solone za 1 kg.	3,95
otręby pszenne	15,00	13,75	11,75	15,50		

Wskaźnik kosztów utrzymania w najważniejszych państwach: pożywienie, opał, światło, mieszkanie i ubranie. Wskaźnik obliczony na podstawie stosunku 1914 rok = 100. (P. M.).

Anglja —	145	Italja —	162
Danja —	154	Niemcy —	137
Francja —	167	Norwegja —	167
Holandja —	154	Szwecja —	158
Szwajcarja —	150	Afryka Poł. —	123
Stany Zjedn. —	161	Australja —	134

Polska — 105.

co najwymowniej świadczy, że w Polsce nie jest najgorzej, gdyż koszt utrzymania podniósł się tylko o 5% w stosunku do warunków z 1914 roku, gdy w innych krajach podniósł się przeciętnie o 50%.

Inż. W. S.